W numerze: Dalej jest już Hiszpania... • Teatr powszechny pana Bussego • Ręce nad miastem • Kondukt • Krzyk z ognia • Antyświat • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

MIEJSKA ODZNAKA HONOROWA M. ŁODZI

Nr 4 (360)
31. I. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

Fot. Z. Jarzyński

KRYSTYNA WYRZYKOWSKA

MADE IN POLAND

Kariera eksportowej Łodzi zaczęła się stosunkowo niedawno. Jeszcze w roku 1961 wartość dostaw eksportowych przemysłu łódzkiego nie przekraczała 1,5 mld zł. Dynamiczny rozwój eksportu łódzkiego rozpoczął się dopiero w roku 1961, kiedy to dostawy eksportowe sięgnęły 49 proc. wzrostu, w stosunku do roku 1960. Rok 1964 zamknęliśmy kwotą 4,3 mld zł (dane orientacyjne) zaś według projektu planu na rok bieżący, wartość dostaw eksportowych wyniesie 5,4 mld zł obiegowych, a w przyszłej pięciolatce aż 16 miliardów.

Stanowi to już wcale poważną pozycję w stosunku do wartości całego polskiego eksportu. Jeżeli więc sprawy eksportu nie zyskały jeszcze należnej sobie popularności wśród tzw. szerokich mas, to przyczyn tego zjawiska szukać należy w złożoności zagadnienia; a także dlatego, ze brak dostatecznej informacji nawet u bezpośrednio zainteresowanych eksportem producentów z różnych branż. Najczęściej mało kto z robotników zorientowany jest, jakie wymogi stawia zagraniczny klient, nie mówiąc już o takich zagadnieniach, jak opłacalność eksportu i czynniki, które na nią wpływają. Niewiele też wiedziano w fabrykach o kierunkach eksportu, do jakiego kraju zawędruje wyprodukowany towar, znając co najwyżej odbiorcę pod firmą danej centrali polskiego handlu zagranicznego.

Łódź jest bez wątpienia największym w Polsce eksporterem wyrobów przemysłu lekkiego, a zwłaszcza tkanin, konfekcji i dzierżawstwa. **W strukturze dostaw eksportowych miasta towary przemysłu lekkiego stanowią aż 74 proc.,** podczas gdy ciężkiego — 8 proc., chemicznego — 5 proc., drobnej wytwórczości — 5 proc., a 8 proc. pozostałe działy łódzkiej gospodarki. Przy tym widoczne są coraz bardziej zmiany w strukturze kierunkowej i asortymentowej eksportu, a co z tym się wiąże i polepszenie jego opłacalności.

Na przestrzeni ostatnich 4 lat udział dostaw do krajów kapitalistycznych łódzkiego eksportu ogółem zwiększył się z 39 proc. w roku 1960 do około 65 proc. w roku ub. **U naszego największego eksportera, tj. w łódzkim przemyśle lekkim, eksport do krajów kapitalistycznych sięga nawet 68**

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ BAJKOWSKI

Pochwała URZĘDNIKA

Z określeniem „aktywista" i „działacz" kojarzy nam się nierozłącznie postać człowieka o niecodziennym życiorysie. Przywykliśmy — w dobie małej stabilizacji — uznawać aktywne działanie za coś w rodzaju bohaterstwa i...

...czy nie wzdrygamy się na myśl, że Kimś Takim mógłby być na przykład zwykły gryzipiórek? Taki w zarękawkach, w binoklach na nosie, narzekający na podagrę i sączący co ranka cienką herbatkę do bułki z kiełbasą?

— Nie! — wykrzykniemy — Niemożliwe!

A jednak... Sam nie uwierzyłbym, gdybym nie widział, nie słyszał...

Oto on: mężczyzna lat 48, nosi, na podagrę nie narzeka, ale już co do herbatki... W każdym razie w niezbyt wysoki, siwy, lekko przygarbiony. No, nie przesadzajmy — zarękawków nie 1932 wyglądał inaczej: pracownicy Zarządu Miejskiego w Żychlinie z nieufnością zerkali na szesnastoletniego szczygła, świeżo upieczonego absolwenta szkoły handlowej, który właśnie tutaj rozpoczynał swoją urzędniczą karierę.

Do 1938, kiedy to powołano go do służby wojskowej, zdążył zasmakować wszystkich co podrzędniejszych stanowisk. Był praktykantem (a później referentem) w dziale księgowości, w podatkach, w administracji... Kampania wrześniowa skończyła się dlań niewolą w jednym z obozów gdzieś aż pod granicą dalekiej Szwajcarii. W 1940 zdołał uciec, nie na front jednak, nie miał takich ambicji — narażając życie uciekł, by powrócić do rodzinnego Żychlina, a w nim do miejsca mu przeznaczonego: do gmachu Zarządu Miasta.. Okupant jakoś przepuścił przez palce powrót uciekinie ra: może i jemu ta ucieczka w kierunku biurka wydała się czymś niezwykłym? Przedwojenny burmistrz miasta pracował teraz jako główny księgowy.

Nasz bohater wnet został jego zastępcą — ten stan trwał do końca okupacji. Potem, gdy istniała dwoistość władzy (Zarządy Miejskie i Rady) pracował jako sekretarz ZM. Rok 1950: ustawa o Radach Narodowych. Zmienia się struktura władzy lecz ludzie — ci najwierniejsi i ci powołani — zostają. Nasz bohater przez najbliższych lat 10 będzie pełnił funkcje sekretarza MRN. W roku 1960 wybory wynoszą go na wymarzony szczyt: zostaje przewodniczącym. I wówczas dopiero wszystko się zaczyna...

*

...Po dwudziestu ośmiu latach pobytu w jednym gmachu. Po dwudziestu ośmiu latach pokory i milczenia. Świadomy plan czy przypadek?

Dzisiaj Mirosław Rędziejowski, przewodniczący Prez. MRN w Żychlinie powiada:

— Wybór na przewodniczącego uważam za wielki zaszczyt, chyba nań nie zasłużyłem... Kadencja się kończy, chciałbym, zanim

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Obrady Doradczego Komitetu Politycznego państw — stron Układu Warszawskiego, które toczyły się w stolicy Polski, skupiły na sobie całą uwagę światowej opinii publicznej. Jest to uzasadnione rangą tego Komitetu oraz aktualną sytuacją międzynarodową, w której wystąpiły pewne nowe zjawiska.

Zapoczątkowany moskiewskim układem o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową proces łagodzenia napięcia — nie z naszej winy przebiega zbyt powoli. Jego zahamowanie z jednej strony spowodowane zostało, jak tłumaczył Zachód, przedwyborczym skrępowaniem w podejmowaniu decyzji, z drugiej zaś, i przede wszystkim, koncepcjami utworzenia wielostronnej formacji nuklearnej z udziałem Niemiec zachodnich.

Koncepcje te — co niejednokrotnie już wyjaśnialiśmy — w sposób pośredni mają włączyć do atomowej spółki niebezpiecznego zachodnioniemieckiego partnera. Stwarza to dodatkowe zagrożenie dla pokoju w Europie i poza jej granicami. Rzecz jasna — trudno więc przejść nad tym do porządku dziennego.

Właśnie w okresie forsowania tych planów NRF raz jeszcze ujawniła swe prawdziwe oblicze, wysuwając prowokacyjne zamierzenie utworzenia pasa min atomowych wzdłuż swych wschodnich granic i proklamując tzw. „strategię wysuniętych pozycji".

Już tylko to wystarczy, by obalić bajeczkę o tym, że poprzez WSN może być zapewniona skuteczna kontrola nad nuklearnymi ambicjami i roszczeniami NRF.

Komitet Doradczy w atmosferze całkowitej jednomyślności zdecydowanie opowiedział się przeciwko tym niebezpiecznym planom i ponowił w imieniu państw — stron Układu Warszawskiego propozycje, dotyczące:

- *zamrożenia zbrojeń jądrowych i utworzenia w centrum Europy strefy bezatomowej*
- *zwołania konferencji państw europejskich nt. bezpieczeństwa*
- *zawarcia paktu nieagresji*
- *niewyposażania państw niemieckich w broń jądrową i pokojowego uregulowania problemu niemieckiego*
- *spotkania szefów rządów państw świata i zwołania światowej konferencji rozbrojeniowej.*

Są to drogi, które jedynie mogą prowadzić do dalszego odprężenia w świecie.

Komunikat Narady Doradczego Komitetu Politycznego podkreśla, że „PAŃSTWA — STRONY UKŁADU WARSZAWSKIEGO NADAL BĘDĄ DOKŁADAĆ SWYCH SIŁ, ABY ZE WSZECH MIAR PRZYCZYNIĆ SIĘ DO ROZŁADOWANIA NAPIĘCIA I DO ROZBROJENIA..." Gdyby jednak blok atlantycki — mimo wszystkich protestów — wszedł na drogę realizacji projektu sił wielostronnych, wówczas zmuszeni będziemy podjąć „NIEZBĘDNE ŚRODKI OBRONNE DLA ZAPEWNIENIA SWEGO BEZPIECZEŃSTWA".

W dokumencie warszawskim konstruktywne propozycje poprzedzone zostały uważną analizą sytuacji międzynarodowej nie tylko pod kątem zamiaru powołania sił wielostronnych, lecz wszystkich aktualnych ośrodków niepokoju na świecie.

I tak komunikat przypomina, że nie ustaje wroga polityka USA wobec Kuby, dokonywane są nadal niebezpieczne prowokacje w Wietnamie, trwa interwencja w Kongo, nie osłabiają swego działania kolonizatorzy w Malajzji... Państwa Układu Warszawskiego, jak zresztą wszystkie kraje socjalistyczne, zdecydowanie potępiają tego rodzaju agresywną politykę.

Wyniki narady warszawskiej żywo komentowane są na łamach prasy światowej. Było to bezsprzecznie wydarzenie nr 1 ostatnich dni.

Licznych ech na szpaltach gazet doczekały się również dwudniowe rozmowy de Gaulle-Erhard.

Chociaż wielu komentatorów nadaje swoim publikacjom ton bardziej optymistyczny niż przed spotkaniem — dać ścisłą odpowiedź na pytanie, co przyniosły rozmowy, jest dość trudno. Może to nastąpić chyba dopiero po zapowiedzianej na dzień 4 lutego konferencji prasowej de Gaulle'a. Wydaje się jednak, że prezydent Francji z uwagi na przedwyborczy okres w NRF udzielił Erhardowi pewnego rodzaju moratorium. Wynik rozmów mieści się — zdaniem prasy francuskiej — gdzieś na połowie drogi „między klęską a sukcesem".

Jedno jest wszakże pewne: w toku rozmów na zamku w Rambouillet — jak pisze „Daily Mirror" — „przywódca niemiecki odmówił zrezygnowania z amerykańskiej tarczy nuklearnej na rzecz słabiutkiej francuskiej siły atomowej. Tak więc zapowiedziane z wielkim rozgłosem rozmowy... okazały się ślepym wystrzałem".

Co z tego wszystkiego wyniknie — okaże się z pewnością w najbliższym czasie.

Jeśli narada warszawska i rozmowy paryskie, jak się już rzekło, znalazły żywe komentarze, tak nieomal niezauważenie przeszło inauguracyjne przemówienie prez. Johnsona wygłoszone w dniu zaprzysiężenia. Nic w tym zresztą dziwnego. To najkrótsze i najbardziej ogólnikowe wystąpienie w historii USA nie wniosło bowiem zupełnie nic nowego. Jeśli przed czterema laty Kennedy zaadresował swe przemówienie „do narodów świata", Johnson przemawiał przede wszystkim do narodu amerykańskiego. Sprawom międzynarodowym poświęcił zaledwie kilka ogólnikowych zdań. Czy była to sprawa osobistego wyboru i zaakcentowania osobistych zainteresowań prezydenta, czy też polityczny unik wobec problemów skłócających sojuszników — pozostanie z pewnością tajemnicą Johnsona.

W. SŁAWSKI.

PS. Z komentatorskiego obowiązku odnotujmy jeszcze dwa fakty: przegraną w wyborach uzupełniających Gordon Walkera, co spowodowało zmianę na stanowisku min. spraw zagranicznych W. Brytanii i oficjalne wycofanie się Indonezji z ONZ. Tak więc z dniem 1 marca liczba członków ONZ obniży się do 114. W przeszłości — w latach 1957 i 1964 — dwa razy zmniejszała się liczba członków, nigdy jednak z powodu wystąpienia.

W.S.

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA 17 STYCZNIA

● Prasa kairska informuje o podjęciu przez władze uniwersyteckie przygotowań do „reformy systemu nauczania socjalizmu". Nauczenie ideologii socjalizmu ma przynieść rozpowszechnienie jej na wyższych uczelniach, w biurach państwowych, rodzinie, fabrykach, a także wśród egipskich fellachów.

● Według paryskiego „Le Monde" każdy z blisko 200 ministrów prowincjonalnych rządów w Kongo otrzymuje rocznie pensję w wysokości 500 tys. franków kongijskich i 120 tys. franków dodatku reprezentacyjnego. Dyrektorzy departamentów otrzymują około 30 tys. franków miesięcznie, naczelnicy wydziałów 20 do 25 tys. Robotnicy natomiast zarabiają zaledwie 1.500 do 3.000 franków miesięcznie, a chłopi poniżej 500.

● Żaden Francuz, ani w rzeczywistości, nikt na Zachodzie, nie chce, aby Niemcy odzyskały granice wielkiego Reichu". — były premier Francji Maurice Faure.

PONIEDZIAŁEK, 18 STYCZNIA

● Przewodniczący Indonezyjskiej Partii Komunistycznej Aidit przedłożył prezydentowi Sukarno projekt uzbrojenia indonezyjskich robotników i chłopów w celu przygotowania się na ewentualność ataku ze strony W. Brytanii i Małej Azji.

● Prasa francuska z zadowoleniem powitała decyzję Turcji nieuczestniczenia w realizacji projektu wielostronnych sił nuklearnych NATO. Dzienniki paryskie zwracają uwagę na fakt, iż decyzja Ankary, zapadła w czasie pobytu w Turcji delegacji radzieckich parlamentarzystów, z Podgornym na czele.

● W Hawanie odbywa się Tydzień Przyjaźni Kubańsko-Albańskiej zorganizowany przez Kubański Instytut Przyjaźni z Narodami.

WTOREK, 19 STYCZNIA

● W prasie NRF ukazały się publikacje zapowiadające zmianę bońskiej polityki kredytowej wobec krajów socjalistycznych. Według tych enuncjacji rząd NRF rozważa możliwość przesunięcia granicy czasowej udzielanych kredytów z 5 do 7 lat.

● „Prawda" poddała krytyce stanowisko reprezentowane przez niektórych działaczy gospodarczych, upatrujących źródeł każdego niepowodzenia w pracy przemysłu czy rolnictwa wyłącznie w przyczynach natury obiektywnej. „Z rozmów z działaczem tego pokroju — stwierdza dziennik — odnosi się wrażenie, że zamiast trzeźwo oceniać rezultaty i szukać sposobów pokonania trudności, stara się on przede wszystkim znaleźć przyczyny, tłumaczące niepowodzenie i pozwalające uchylić się od odpowiedzialności".

● „Militaryzm jest to roślina, którą trzeba tak pielęgnować, aby nie wydała owoców".

Jaques Tati

● Premier Izraela Eszkol oświadczył, iż w wypadku, gdyby kraje arabskie wprowadziły w życie decyzję o odwróceniu biegu dopływów rzeki Jordan „konfrontacja wojskowa będzie nieunikniona".

ŚRODA, 20 STYCZNIA

● Doradczy Komitet Polityczny państw — stron Układu Warszawskiego zakończył obrady. W obradach udział wzięli pierwsi sekretarze KC partii komunistycznych i robotniczych, szefowie państw, ministrowie obrony narodowej.

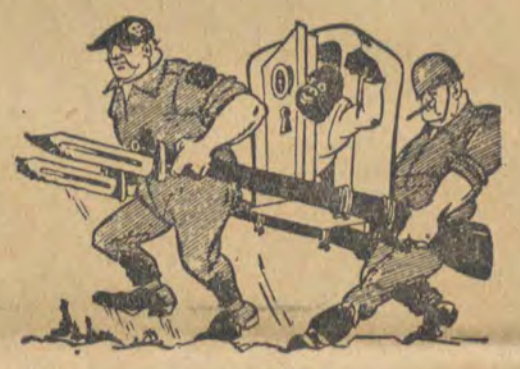

Czombe: „Za trzy miesiące będziemy mieli nowe Kongo"

W opublikowanym komunikacie Doradczy Komitet Polityczny ostrzega m. in. przed konsekwencjami realizacji projektów wielostronnych i atlantyckich sił jądrowych otwierających militarystom bońskim dostęp do broni atomowej. W końcowym fragmencie komunikat stwierdza: „Państwa — strony Układu Warszawskiego nadal będą dokładać swych sił, aby ze wszech miar przyczyniać się do rozładowania napięcia i do rozbrojenia, do pokojowego współistnienia i zapewnienia pokojowej przyszłości wszystkim narodom".

● Dzienniki kubańskie opublikowały tekst komunikatu konferencji partii komunistycznych Ameryki Łacińskiej. W konkluzji komunikatu zawarto apel o „natychmiastowe zaprzestanie polemiki publicznej" w ruchu komunistycznym, o zaniechanie wszelkiej działalności frakcyjnej przeciwko jedności poszczególnych partii.

● W pierwszym numerze nowego politycznego periodyku „Awangarda", uważanego za organ intelektualnej lewicy nasserowskiej, ukazał się artykuł Oskara Langego na temat planowania w krajach rozwijających się. Oskar Lange określony jako najwybitniejszy pianista w obozie socjalistycznym, jest jedynym nie arabskim autorem publikowanym na łamach tego numeru pisma.

CZWARTEK, 21 STYCZNIA

● W pierwszych wstępnych ocenach wyników paryskiego spotkania Erhard — de Gaulle większość obserwatorów zachodnich stwierdza, że rozmowy przyniosły wyraźną poprawę atmosfery między obu rządami, aczkolwiek nie rozwiązały pozostających w zawieszeniu problemów, co do których nie ma zasadniczej zgody między Paryżem a Bonn.

● Francuskie centrale związkowe proklamowały strajk w sektorze przedsiębiorstw znacjonalizowanych i instytucji państwowych na 27—28 stycznia. Przyczyną strajku są niższe płace w sektorze państwowym niż w przedsiębiorstwach prywatnych.

● Produkcja stali w Związku Radzieckim osiągnęła w roku 1964 wysokość 84 milionów ton. Plan na rok bieżący zakłada wytopienie 90 mln ton. Radziecka stal wytapiana jest w 75 proc. w hutach o wydajności przekraczającej milion ton.

PIĄTEK, 22 STYCZNIA

● W związku ze zbliżającymi się wyborami do terenowych rad narodowych w ZSRR pismo „Sowiety deputatów trudjaszczychsja" przypominając o potrzebie bardzo starannego doboru radnych nowych kadencji, stwierdza: „Należy także zerwać z praktyką wysuwania kandydatów wyłącznie na podstawie zajmowanego stanowiska służbowego. Wielu takich „honorowych" radnych nie przejawia aktywności i nie zasługuje na ponowny wybór".

● Zdaniem francuskiego „Le Populaire" zmniejszenie sum budżetu amerykańskiego przeznaczonych na pomoc ekonomiczną dla zagranicy jest wyrazem odrodzenia izolacjonizmu w Stanach Zjednoczonych. Neoizolacjonizm USA — stwierdza dziennik — wyrasta na tle antyamerykanizmu de Gaulle'a w Europie i porażek amerykańskich w Wietnamie Południowym.

● Rząd ChRL podjął decyzję o przedłużeniu służby wojskowej podoficerów i żołnierzy w wojskach lądowych do 4 lat, w lotnictwie — 5, marynarce wojennej — 6.

SOBOTA, 23 STYCZNIA

● Komisja łączności i transportu Zgromadzenia Narodowego Jugosławii wystąpiła energicznie przeciwko zamierzeniom resortowego sekretariatu Związkowej Rady Wykonawczej wstrzymania w roku bieżącym prac przy budowie linii kolejowej Belgrad-Bar. W historii powojennej Jugosławii jest to pierwszy tego rodzaju poważny konflikt między komisją parlamentu a rządem.

● Na przestrzeni tygodnia, po wprowadzeniu prohibicji w Kuwejcie, zmarły 24 osoby z powodu spożycia znacznych ilości wody kolońskiej.

● Wielkim oburzeniem zareagowała opinia publiczna Danii na wiadomość, że jeden z wyższych oficerów amerykańskich z „grupy doradczej NATO" pobił do nieprzytomności robotnika duńskiego za to, że — zdaniem oficera — robotnik zbyt ospale usunął się z drogi przed samochodem oficera.

POLONICA

ZASŁUŻONY TŁUMACZ Z POLSKIEGO

31 grudnia ub. r. zmarł w Budapeszcie w wieku 73 lat zasłużony tłumacz z języka polskiego — Istvan Meszaros. Jego ojciec pracował w Borysławiu w zagłębiu naftowym, gdzie wychowywał się również później tłumacz, który zresztą służył w wojsku polskim i do roku 1928 przebywał bądź w Borysławiu, bądź we Lwowie. Następnie, po wyjeździe do Budapesztu, pracował tam jako referent do spraw polskich w węgierskim MSZ. Od roku 1949 utrzymywał się wyłącznie z przekładów. Istvan Meszaros przełożył między innymi: „Ziemię obiecaną" Reymonta, „Quo vadis" i „Krzyżaków" Sienkiewicza, „Pokolenie" Czeszki i „Życie Szopena" Jarosława Iwaszkiewicza.

Ilość jego przekładów z języka polskiego wynosi ogółem 50 pozycji.

SPOTKANIE Z POLSKĄ

Ukazał się nowy numer, piąty z kolei, miesięcznika „Begegnung mit Polen" (Düsseldorf), w którym znajdujemy wiele ciekawego materiału. A więc dr Dorothea Müller-Ott pisze o polskim życiu teatralnym w latach 1944—1964, Lothar Bartonek zamieszcza artykuł pt. „Stefan Żeromski — latarnia w ciemności", dużą część numeru zawierają materiały dokumentacyjne pod wspólnym tytułem „Niemiecki wschód — polski zachód" oraz bogata kronika polskich wydarzeń politycznych, gospodarczych, literackich, plastycznych i filmowych. Z utworów polskich autorów znajduje się w numerze wiersz Jana Koprowskiego w przekładzie Arno Reinfranka.

AUSTRIA — POLSKA

Otrzymaliśmy grudniowy numer czasopisma „Polen in Wort und Bild", wydawanego przez istniejące w Wiedniu Towarzystwo Austriacko-Polskie. Numer zawiera bogaty materiał ilustracyjny oraz wiele artykułów na różne tematy. Między innymi omówiony jest szeroko „Polski dzień w Innsbrucku", gdzie odbyła się wystawa polskich książek oraz inne imprezy kulturalne, propagujące Polskę i jej kulturę. W numerze znajdujemy omówienie premiery sztuki Witkacego „Wariat i zakonnica", z którą wystąpił Atelliertheater w Wiedniu (przekładu utworu Witkacego dokonała zasłużona tłumaczka literatury polskiej, mieszkająca stale w Wiedniu — Gerda Hagenau). Ponadto omówione są książki polskie, przełożone na język niemiecki, szczególnie ciepło pisze się o „Nowych myślach nieuczesanych" Stanisława Jerzego Leca.

MADE IN POLAND

Dalszy ciąg ze str. 1

proc., przy czym w „bawełnie" — 87 proc., a „jedwabiu" od roku 1964 r. aż 95 proc. Nawet najmłodsza eksportowo branża przemysłu lekkiego, tj. odzieżowa, której kontakty z zagranicznymi klientami rozpoczęły się zaledwie przed dwoma laty, prawie połowę swej eksportowej produkcji zbywa na rynkach kapitalistycznych — dewizowych, co jest naprawdę niemałym sukcesem, jeśli się weźmie pod uwagę zarówno wymagania tamtejszych odbiorców, jak i konkurencję na światowych rynkach handlowych.

Tak ukierunkowany eksport jest szczególnie korzystny, eksponuje bowiem towary droższe, szlachetnie wykończone, bardziej pracochłonne, ale i bardziej opłacalne. Polepszenie standardu jakościowego i asortymentowego stało się możliwe dzięki dokonanej modernizacji zakładów oraz zastosowaniu nowych technologii i nowych technik produkcji.

Innowacje te nie były łatwe. Jak każda nowość budziły wśród wielu pracowników nastroje „anty", wymagały bowiem nowej wiedzy zawodowej i nowych umiejętności. Niejeden stary majster, który we włókiennictwie, jak to się mówi, postradał zęby, stawał bezradny wobec nowoczesnego agregatu do film-druku, wymagającego co prawda mniejszego nakładu siły fizycznej, ale za to sprawniejszej, a co ważniejsze — innej obsługi. Coraz częściej więc do przemysłu wkraczali młodzi wysokokwalifikowani mistrzowie z dyplomami techników, czy inżynierów w kieszeniach.

Owa techniczno-kadrowa rewolucja nie pozostała bez wpływu na nasze możliwości eksportowe. **Jej odbiciem jest zwłaszcza szybszy wzrost wartości, niż ilości produkcji przeznaczonej na eksport.** Wartość np. eksportu tkanin bawełnianych w roku 1965 wzrasta wobec roku 1963 o 28 proc., podczas kiedy ilość tylko o 18 proc. Wartość produkcji eksportowej przemysłu wełnianego o 45 proc., zaś ilość o 41 proc. Podobnie przedstawia się sytuacja i w innych branżach. Nie znaczy to jednak, że dynamika wzrostu ilościowego w produkcji eksportowej przemysłu lekkiego była niezadowalająca. **Na przestrzeni lat 1962—64 eksport tkanin wzrastał znacznie szybciej, aniżeli globalny eksport krajowy w ogóle.** Dzięki polepszeniu jakości produkowanych tkanin, wprowadzeniu nowoczesnego, modnego wzornictwa, zwiększeniu produkcji tkanin szlachetnych kosztem tkanin mało pracochłonnych, tzw. „surówek", zmienił się korzystnie w obrotach centrali handlu zagranicznego CeTeBe stosunek płatniczy naszej polskiej złotówki do dolara: po prostu w roku

1964 dolar stał się dla nas tańszy o pełne 14 zł w stosunku do roku 1963. A to już jest niemały sukces.

Zapytany, czego sobie najbardziej życzy w dziedzinie zawodowej, dyrektor generalny CeTeBe — Z. Starzeński odpowiedział:

- **Dalszego nadążania za wzornictwem światowym;**
- **Polepszenia konstrukcji tkanin poprzez obniżenie ich ciężaru i przystosowania do wymogów klienta;**
- **Staranniejszego wykończenia towarów oraz likwidacji reklamacji.**

Na podobne braki zwrócił uwagę także przedstawiciel producentów — dyr. Waksman ze Zjednoczenia Przemysłu Odzieżowego. W roku bieżącym wartość eksportu towarów tej branży wyniesie 120 milionów zł dew., z czego przeznaczonych dla krajów kapitalistycznych — 20 mln złotych dewizowych. **Aby jednak zadania te wykonać, poprawić trzeba w pierwszym rzędzie jakość tzw. dodatków do konfekcji oraz opakowania.** Są to problemy nie tylko przemysłu odzieżowego, ale także dziewiarskiego i pończoszniczego. Zagraniczni agenci polskich central handlowych, np. Confeximu, niejednokrotnie sygnalizowali fakty skutecznego, niestety, konkurowania z polskimi wyrobami firm zagranicznych nie tyle jakością towarów, ile... lepszym, efektowniejszym opakowaniem. W niektórych grupach towarowych, jak np. w przypadku pończoch lub konfekcji jest to zagadnienie kapitalne, wymagające jak najszybszej reakcji producentów.

Ale nie tylko to psuje krew ludziom spod znaku polskiego Merkurego. **Niemało kłopotów sprawia im obowiązujący w przemyśle lekkim system planowania, nie uwzględniający sezonowości i potrzeby szybkiej zmiany produkowanego asortymentu.** Zagraniczny klient zaś nie czeka, nic go nie obchodzą nasze problemy surowcowe czy strukturalne, wymaga szybkiej dostawy zamówionego towaru, w przeciwnym bowiem razie, idzie do konkurenta.

Na szczęście, z konkurencją radzimy sobie coraz lepiej. W ub. roku olbrzymiego skoku ilościowego i jakościowego w produkcji eksportowej dokonał przemysł jedwabniczy, **dzięki czemu znalazł się on w wielkiej czwórce światowych producentów i eksporterów jedwabiu po Francji, Włoszech i Japonii.** Korzystnie wygląda również sytuacja naszego przemysłu bawełnianego. Daleko od światowego standardu odbiegają natomiast nasze tkaniny wełniane oraz niektóre wyroby dziewiarskie i bieliźniarskie, z wyjątkiem, rzecz jasna, naszej „Wólczanki", której koszule popelinowe cieszą się zasłużoną sławą nie tylko wśród polskich klientów płci brzydkiej.

Jednym słowem nie narzekajmy na rok ubiegły. W dziedzinie eksportu przyniósł on Łodzi nie mało dobrego. **Jego następca, rok 1965, roztacza przed łódzkim eksportem również pomyślne perspektywy. Pod warunkiem, że krzywa starań zarówno handlowców, jak i producentów nadal będzie szła ku górze.** Miejmy nadzieję, że tak będzie. Jest to konieczne ze względu na zadania, jakie w tym roku podyktowane zostaną przesunięciami mającymi się dokonać w geografii łódzkiego eksportu, zwłaszcza w grupie towarów przemysłu lekkiego.

Zmniejszenie dostaw do krajów słabo rozwiniętych, a zwiększenie do krajów wysoko rozwiniętych, na dolarowe, bardzo wymagające rynki światowe — oto cel, który stoi przed łódzkimi eksporterami w roku 1965.

K. WYRZYKOWSKA

Ze świata NAUKI

RĘCE NA TRANZYSTORACH

Siedzący za stołem człowiek wyciąga przed siebie wyprostowaną rękę. Powoli zamyka ją w pięść, ponownie otwiera. Ujmuje stojącą szklankę, wypija łyk wody. Wreszcie bierze leżący na stole ołówek i pisze na kartce swoje nazwisko. Siedzący półkolem obserwatorzy biją brawo.

Cóż to za dziwny występ, gdzie zaciśnięcie ręki w pięść lub napisanie kilku słów na kartce wywołuje entuzjazm audytorium i to nie byle jakiego, bo składającego się z najwybitniejszych lekarzy i fizyków? Odpowiedź na to pytanie jest jeszcze bardziej zadziwiająca. Siedzący za stołem człowiek jest pacjentem jednej z klinik moskiewskich, a niezwykłość zdarzenia polega na tym, że w nieszczęśliwym wypadku stracił rękę, właśnie tę, która teraz trzyma ołówek, składając swój podpis na kartce.

Zaproszeni goście są świadkami rewelacyjnego osiągnięcia w dziedzinie światowej protetyki, będącego dziełem dwóch moskiewskich uczonych Kobrińskiego i Gurfinkla.

Sztuczna ręka, nosząca oficjalną nazwę protezy elektronowej, waży mniej niż 1,5 kg i jest poruszana bardzo słabymi impulsami elektrycznymi wytwarzanymi przez włókna nerwowe pacjenta. Jak wiadomo ruchy mięśni są kierowane przez centralny układ nerwowy, skąd za pośrednictwem włókien nerwowych impulsy elektryczne wytworzone przez żywy organizm czyli tzw. bioprądy, przedostają się do poszczególnych mięśni, powodując ich skurcz.

Po amputacji, szczególnie poniżej łokcia, układ nerwowo-mięśniowy działa w dalszym ciągu na całej długości pozostawionego kikuta. Konstruktorzy wykorzystali te zjawiska, odwracając jednak ich kolejność. Energię mechaniczną, kurczącego się mięśnia przekształcali ponownie w prąd elektryczny, aby po wielokrotnym wzmocnieniu poruszyć nim sztuczną rękę. Plastykowy pasek przymocowany do kikuta poniżej łokcia, zawiera dwie elektrody, z których każda połączona jest z dwoma przewodami biegnącymi w jednym kablu w górę, wzdłuż rękawa marynarki. Prowadzą one do urządzenia tranzystorowego wielkości paczki papierosów, a stąd do sztucznej ręki, w której wnętrzu znajduje się kilka mechanizmów, przede wszystkim jako najważniejszy, wzmacniacz zwiększający siłę prądów biologicznych około 20 000 razy.

Osiągnięcie radzieckie jest pierwszym krokiem do realizacji tzw. systemu kontroli myoelektrycznej. Pozwoli on przyszłym kosmonautom swobodnie prowadzić pojazd i wykonywać zlecone zadania, nawet gdy wielkie przyspieszenia unieruchomią ich w fotelu.

MAREK BRONIKOWSKI

JERZY DARNAL

Koncert przyjaźni

Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Smoleńskiej (ściślej: Kolektiw Chudożestwiennoj Samodiejatielnosti Smoleńskoj Oblasti) był nam do tej pory znany tylko ze słyszenia pomimo szeroko zakrojonej współpracy, w różnych dziedzinach, pomiędzy województwem łódzkim i obwodem smoleńskim Rosyjskiej Republiki. Toteż z niecierpliwością oczekiwaliśmy zapowiadanych występów zespołu artystycznego zaprzyjaźnionej z nami Ziemi Smoleńskiej.

Szlak zespołu, wiodący przez Łódź, Łowicz, Tomaszów, Piotrków, Wieluń i Pabianice był szlakiem sukcesów i nierzadko polska publiczność włączała się samorzutnie do koncertu śpiewając „Sto lat", a trzeba stwierdzić, że goście w pełni zasłużyli sobie na entuzjastyczne brawa i powszechny aplauz. Było bowiem w tych występach coś, co kazało przełamywać bariery sceny i sali widowiskowej, a tym samym bariery granic i narodowych odrębności, coś autentycznie braterskiego, ba, swojskiego po prostu, co widzowie zauważyli od razu i podchwycili dostrajając się do atmosfery narzuconej przez Zespół Smoleński. Może na to pojednanie widowni i zespołu wpłynęła urocza konferansjerka Wiktora Zadorożnego, któremu przeszkadzał swoją powagą tłumacz, może też decydującą rolę odegrał tu jednak repertuar przygotowany specjalnie na polskie występy przez kierownika artystycznego Smoleńszczan, Feliksa Szuchmachera, może zadecydowała ta okoliczność, że koncerty odbywały się w dwudziestą rocznicę wyzwolenia naszego miasta i województwa przez Armię Czerwoną, w każdym razie dawno już nie widziałem tak nabitych do ostatniego miejsca stojącego sal i tak poruszonej, przejętej każdym numerem programu widowni.

Przyczyna tak przyjaznego przyjęcia łatwo dałaby się wytłumaczyć, gdyby Rosjanie przyjechali do nas z repertuarem „samograjowym". Tym czasem obliczonych na efekt punktów programu było bardzo niewiele, ale nawet i one (Polonez Ogińskiego w wykonaniu orkiestry, „Kukułeczka" Sygietyńskiego zaśpiewana przez Walentynę Palwińską, czy wreszcie piosenka Ostrowskiego „Niech zawsze będzie słońce" w wykonaniu całego zespołu) odznaczały się jakąś świeżością wykonania, co sprawiło, że odbierało się je jak zupełnie nowe.

Kierownik artystyczny Feliks Szuchmacher celowo zakroił program o wiele ambitniej, dając reprezentatywną próbkę tego, co Zespół robi u siebie na co dzień jako ambasador twórczości ludowej Smoleńszczyzny i w ogóle twórczości regionu. Właśnie regionalne piętno przydało występom tych smaczków, których zdaje się jesteśmy spragnieni oglądając zespoły naszych licznych domów kultury w powiatach i województwach.

Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Smoleńskiej jest w zasadzie, gdyż występuje w nim na przykład śpiewaczka Walentyna Palwińska, zasłużona artystka Republiki Rosyjskiej, notabene laureatka Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Ale poza tym członkowie zespołu rekrutują się spośród uczniów, studentów, a także pracowników zakładów produkcyjnych Smoleńszczyzny. Oktet wokalny mężczyzn związany jest z Jarcewskim Pałacem Kultury Włókniarzy, kwintet dziewczęcy, w którym śpiewają m. in. dwie wdzięczne siostry Prudnichow, z domem kultury fabryki budowy maszyn, wreszcie orkiestra rosyjskich instrumentów ludowych z dyrygentem Włodzimierzem Rusakowem jest dumą Smoleńskiego Domu Kultury Związków Zawodowych.

Zespół Szuchmachera zdołał sobie w ciągu kilku lat istnienia (trudno podać ścisłą datę, gdyż np. zespół wokalny mężczyzn istnieje od lat 10, dziewczęcy zaś dopiero 2 lata) wychować solistów, wśród których wybija się niepośledni talent śpiewaczy — Włodzimierz Szabelnikow. Wiele sympatii publiczności ściągnęło na siebie również małżeństwo tancerzy Olga i Włodzimierz Polonscy, zwłaszcza pantomimicznym obrazem „Taniec husarski".

W sumie Rosjanie dali pokaz żywy, barwny, świeży. Orkiestra rosyjskich instrumentów ludowych, wśród których znajdowały się gęśle i, nie znane mi bliżej do tej pory, domry, wniosła coś egzotycznego i oryginalnego, rzadko sięgając do repertuaru znanego nam choćby z koncertów radia moskiewskiego. Ze szczególną uwagą wysłuchaliśmy „Smoleńskiego kadryla" Kabaszowa, który wykonała orkiestra pod dyrekcją kompozytora.

Ktokolwiek wpadł na myśl zaproszenia Rosjan na koncerty przyjaźni do naszego województwa, wpadł na pomysł doskonały. Były to bowiem nie tylko koncerty regionalnej twórczości Ziemi Smoleńskiej, ale również koncerty polityczne w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nic więc dziwnego, że do tego stopnia porwały polską publiczność, a każdy występ Rosjan przekształcał się w wiec przyjaźni i braterstwa.

Pochwała URZĘDNIKA

Dalszy ciąg ze str. 1

odejdę zrealizować wszystko, co słyszałem w formie postulatów podczas kampanii wyborczej...

Świadomy plan czy przypadek?

Przez dwadzieścia osiem lat uważano go za dobrego ale niczym specjalnie nie wyróżniającego się urzędnika. Przez dwadzieścia osiem lat „starałem się solidnie wypełniać obowiązki..."

Czy wybierając go na przewodniczącego oczekiwano cudu?

Nie sądzę, aby tak było. A jednak „cud zdarzył się": od 1960 roku miasto Żychlin zaczęło żyć.

On sam powiada:

— Niech mi pan wierzy, nie moja to zasługa, aktywu. Mam tutaj wokół siebie wspaniałych ludzi (wymieńmy ich: I sekr. KM PZPR tow. Malenkiewicz, dyrektor Zakładów im. W. Piecka tow. Kotynia, dyrektorzy Cukrowni Dobrzelin tow. tow. Lewandowski i Wójtowicz, I sekr. KZ PZPR przy Zakładach W. Piecka tow. Pawlik... — przewodniczący gotów jest ciągnąć tę listę jeszcze długo, ale my przerywamy mu, już dobrze, dobrze, wierzymy...) dzięki nim niektóre inicjatywy...

Pytam:

— Wobec tego czym zajmuje się pan?

Uśmiecha się:

— No... Musi być przecież ktoś, kto ruszy rzecz z miejsca, od czasu do czasu wymyśli coś, zorganizuje robotę...

Napisałem: „miasto zaczęło żyć" i muszę jakoś to uzasadnić. A jak zapisać to, że „żyje" miasto zamieszkałe przez 8.200 osób, miasto, w którym widać tyle ile widać ze środka rynku, miasto, które wprawdzie nosi nazwę Żychlin, ale o którym jeden z mężów stanu podczas wizyty rzekł: „Gdyby nie fabryka, która was utrzymuje, nie byłby to Żychlin lecz Zdechlin..."?

Fabryka rzeczywiście jest: to Zakłady Wytwórcze Silników Elektrycznych i Transformatorów, czyli M-1, czyli krótko „PIK" (od imienia patrona). Zatrudnienie ponad 2 tys. osób. Produkcja o wartości globalnej przekraczającej milion zł dziennie! Jedna z powag naszego przemysłu elektrotechnicznego. Oczywiście produkuje także na eksport. I oczywiście nie jest przesadą, że utrzymuje całe miasto. Nie znajdziesz w Żychlinie ani jednej rodziny, z której przynajmniej ktoś jeden nie pracowałby w „PIKU".

Czy fabryka determinuje życie miasta? Wydaje się, że przede wszystkim pomaga mu. Poprzez swój aktyw, poprzez swoją silną organizację partyjną, przez swoje pieniądze...

Ale miasto i bez swojej fabryki ma swoje pomysły...

...i tak oto niepostrzeżenie znów wróciliśmy na podwórko naszego bohatera.

*

...Stacja kolejowa Żychlin odległa jest od miasta ponad 4 km. Wiele pociągów zatrzymuje się tutaj — stacja Żychlin, jak widzimy, skomunikowana jest z szerokim światem. Nie była jednak przez długie lata skomunikowana z miastem: polną drogą jeździły najpierw chłopskie podwody, potem prywatne (i zdzierające grosz) taksówki. Podczas kampanii wyborczej ludzie mówili: problem do rozwiązania. Redziejowski obiecał: coś się zrobi.

To „coś" ma dzisiaj (trzeci już rok) kształt czterech mikrobusów „Nysa". Jeżdżą do każdego pociągu — po dwa, niekiedy trzeba „nawrócić". łączą także miasto z kilkoma pobliskimi wioskami. Skąd się wzięły?

Może zabrzmi to dziwnie, ale... zaczęło się wszystko od wypowiedzi telewizyjnej wiceprzewodniczącego WRN tow. Edwarda Majka. Obiecał on mianowicie, że w Żychlinie będą wodociągi. Żychliniacy rozpoczęli akcje zbiórki funduszy — doszli już do blisko 200 tys. zł, kiedy nagle KERM uchwalił, że w miastach poniżej 10 tys. mieszkańców inwestycji tego typu być nie może (przynajmniej na razie) Sprawa wodociągów upadła. Redziejowski jednak nie ustępował: co kilka dni zjawiał się w Prez. WRN i wiercił dziurę w brzuchu komu tylko mógł. Wreszcie kierownik Wydziału Gospodarki Komunalnej, tow. Burzyński powiedział mu: „Wspominaliście kiedyś o samochodach że niby chcecie mieć własną komunikację miejską..." „Faktycznie, wspominałem..." — powiada przewodniczący. „No to ja wam coś zaproponuję: wy dajcie nam wreszcie spokój z tymi wodociągami, a my wam wówczas damy samochody..." No i dali: cztery furgony „Nysa". Furgony wnet przerobiono na mikrobusy i... resztę już znacie.

A sprawa sali widowiskowej, jednej z ładniejszych w województwie, sali, w której występowali najznakomitsi artyści estradowi? (Wspomina mi tę salę kiedyś w Warszawie Mieczysław Fogg twierdząc, że w tak małym mieście nie widział jeszcze nigdzie w kraju sali tak dobrze urządzonej)

Przewodniczący mówi:

— Ten pomysł istotnie, był mojego chowu. Po prostu wiedziałem, że sala jest potrzebna, a mieliśmy w budynku MRN nie wykorzystaną salę posiedzeń. Teraz... teraz mamy i teatr, i występy rozmaite, i kabinę projekcyjną budujemy: będzie w Żychlinie kino panoramiczne.

Proszę: kiedy się słucha jakie to wszystko proste!...

A remont i malowanie elewacji?

Zjawił się u przewodniczącego architekt miejski, druh i przyjaciel:

— Słuchaj — powiada — miasto brudne, należałoby odmalować. Mam kumpla plastyka, zrobi projekt...

Kilka tygodni potem zjawił się ów plastyk. Obfotografował dokumentnie elewacje Rynku, głównej ulicy. Później przysłał projekty: urzekające barwą, sympatyczne. Przewodniczący poszedł z rulonem do ludzi: na zebrania Komitetów Blokowych, do fabryki:

— Tak mogłoby być — mówił. Mówił tak długo, aż chwyciło. Zadecydowali: będziemy malować. MRN dostarczy farby, pędzle, sprzęt. Praca była społeczna. Dzisiaj... Uwierzcie słowu reportera: nigdzie jeszcze nie widział (a jeździ daleko i często) tak estetycznie pomalowanego, małego nawet nie powiatowego miasteczka...

...Można by długo jeszcze: o akcji, której wynikiem było ogrodzenie i uporządkowanie terenów wokół nowej Tysiąclatki. O świecących nocą jarzeniówkach. O urządzonej w samym śródmieściu eleganckiej... kwiaciarni, która nawiasem mówiąc świadczy przy okazji usługi pogrzebowe, z wykonaniem i ozdobieniem trumny włącznie.

O planach budowy nowej asfaltowej drogi do stacji. O projekcie urządzenia wzdłuż brzegów przecinającej Żychlin rzeczki Siudwi bulwarów spacerowych które wiodły będą do ośrodka rekreacyjnego nad stawami obok Cukrowni w Dobrzelinie... O budowie z funduszów społecznych Domu Nauczyciela, o... Chyba wystarczy. Chyba wystarczy za dowód, że Żychlin istotnie zaczął żyć.

Powraca pytanie: jaka jest tajemnica sukcesu? Spróbujmy przyjrzeć się rozmaitym wariantom odpowiedzi:

Przewodniczący Rędziejowski?

Jest skromny, powiada: kolektyw. Długo muszę go molestować zanim doda:

— Ja sam... Nie wiem, nie wydaje mi się... Może po prostu chciałbym, żeby moje miasto było piękne, żeby wszystkim — i nam, mieszkańcom a także przybyszom — imponowało? Nie mówi tego, na co oczekuję: kocham to wszystko, co mnie otacza — domy, i ludzi... A może to jest właśnie to, kiedy słyszę: — proponowano mi przenieść się na inne stanowiska: do Łodzi, nawet do Warszawy. Odmówiłem. Myślę, że moje miejsce jest jednak tylko tutaj. Zresztą niech pan pomyśli: trzydzieści dwa lata w jednym budynku — chyba można się przyzwyczaić?

Z trzydziestu dwóch lat pracy mój „gryzipiórek pozytywny" wyniósł ogrom doświadczenia, umiejętność współżycia z ludźmi, kapitalną znajomość terenu, jego mentalności i jego potrzeb. Rzec by można — długie lata przygotowywał się do batalii. Dzisiaj rozgrywa ją zwycięsko. Ale czy tylko on?

Wierzbicki, Malenkiewicz, Pawlik — trzej ludzie partii. Wierzbicki jest dzisiaj instruktorem KP w Kutnie, ale jeszcze niedawno był w Żychlinie I sekretarzem KM. Rędziejowski powiada: to ich zasługa.

W dokumentach czytam: 32 proc. pracujących Żychlina należy do PZPR. Ten wskaźnik — czy on także nie jest fragmentem odpowiedzi na nurtujące nas pytanie?

Panie przewodniczący Rędziejowski: na pańskie ręce, ręce działacza, administratora, członka KM PZPR, aktywisty, na ręce człowieka zaangażowanego w imieniu mieszkańców Żychlina składam podziękowanie. Wraz z otaczającym pana aktywem jest pan symbolem dobrej roboty.

Sto lat życia, panie Rędziejowski: żeby pański Żychlin był jeszcze piękniejszy.

ANDRZEJ BAJKOWSKI

Sprostowanie

Do artykułu mego „Łódź teatralna 1964" („Odgłosy" nr 2/358/ z 17 stycznia 1965 roku) wkradł się błąd. Jako twórca „Pastorałki" figuruje Janusz Kłosiński, podczas gdy reżyserem widowiska był młody artysta, wyrosły w łódzkim ruchu teatrów studenckich JAN SKOTNICKI. Mimo, że do winy się nie poczuwam, tym niemniej najmocniej przepraszam autora inscenizacji „Pastorałki".

ANDRZEJ BIERNACKI

EDWARD KOPCZYŃSKI

KONDUKT

(Fragment)

Wrzesień 1939 roku to już historia.

W szóstym dniu tamtego września wyszedłem z Łodzi z dziesiątkami tysięcy innych mężczyzn — zgodnie z życzeniem ówczesnych władz i wezwaniami płynącymi z radia. Szliśmy do Warszawy, bo tam miano dać nam broń do walki z najeźdźcą.

Szedłem w kilkuosobowej gromadzie mężczyzn, przypadkowo dobranej. Był wśród nas ojciec z synem. Ojciec był wśród nas najstarszy i z racji na swój wiek, bez uzgadniania, zaczął nami dowodzić. Był to mężki mężczyzna, lat ponad 50, słusznego wzrostu, dobrze odżywiony, z wyraźnym brzuszkiem. Prędko spostrzegłem, że bał się bardzo. Nie pozwalał nam odpocząć, stale ponaglał do szybszego marszu, chociaż sam co chwila ocierał pot z twarzy i szedł przed nami w koszuli, przylepionej do pleców. Był nieczuły na nasze prośby, że nie możemy iść, że jesteśmy głodni. Każdy paruminutowy odpoczynek trzeba było wyżebrać, wybłagać, prawie wypłakać. Nie wzruszały go również prośby własnego syna, wysokiego, mocnego chłopaka w moim wieku, który otarł nogę i szedł ze łzami w oczach. Mogłem zostać, bo przecież nie było żadnego przymusu, ale w gromadzie było raźniej i tych kilkanaście godzin przemaszerowanych razem przyzwyczaiło nas do siebie, zespalało w jakiś szybki bardzo trudny do wytłumaczenia sposób. Szliśmy jeszcze późnym wieczorem. Świecił księżyc i noc była jasna. Było chłodno.

Nienawidziłem już ojca, bo była to 17 godzina mojego marszu. Czułem się tak, jakby zrobiono mnie dzisiaj od nowa, z różnych, nie bardzo dobranych części, które chociaż pasowały do siebie, to jednak nie mogły się zestroić i bardzo często zgrzytały, jęczałem z bólu. Nogi w butach miałem już pościerane, krwawiące. Wystarczało usiąść w rowie i oprzeć plecy, a zasypiałem natychmiast. Ojciec budził mnie potrząsając mocno za ramię, a ja wstawałem śpiąc jeszcze i klnąłem go za to wewnątrz swoich majaczeń, a jednocześnie byłem mu wdzięczny, że mnie nie zostawił, że nie zapomniał, że jestem stale w gromadzie.

Przed nami, daleko, na widnokręgu świeciły wysokie, dwie łuny. Ojciec orzekł, że palą się Łowicz i Sochaczew i zmienił kierunek naszego marszu — poszliśmy na wschód, zataczając koło na drodze do Warszawy. Szliśmy całą noc. Taka była wola ojca. Była to noc udręczeń, noc wariacka, noc jak w malignie, w czasie ciężkiej choroby. Noc walki z bólem fizycznym, monstrualnym zmęczeniem i nieopanowanym pragnieniem snu. Zasypiałem już w każdej pozycji, wystarczyło oprzeć się o drzewo, usiąść na jedną sekundę nawet w kałuży wody. W majaczącym mózgu klątem i podziwiałem ojca. Był bezlitosny. Dla nas, dla swego syna i dla siebie. Widać było, że też goni resztkami sił, resztkami energii, że idzie jakby już tylko z rozpędu, z rozmachu. Pewnie dlatego, kiedy zezwalał nam na parę minut odpoczynku, sam nie siadał, nie wyciągał znużonego ciała na zroszonej trawie, a stał nad nami, bo bał się że zaśnie, że się rozklei, że nie będzie mógł wstać i iść dalej. O brzasku nowego dnia doszliśmy do jakiejś wsi. Już za zgodą ojca szukaliśmy noclegu. Weszliśmy w pierwsze lepsze gospodarskie podwórze. Z domowników nikt tu nie spał, wszyscy byli ubrani. Dostaliśmy mleko i chleb, a wysoki, chudy gospodarz wskazał nam spanie na klepisku w stodole. Klepisko było wymoszczone słomą i po ciemku szukaliśmy miejsca dla siebie, co było trudne, bo leżało tu wielu takich jak my, przybyłych przed nami. Nie zdejmowałem sznurowanych butów, bo ktoś mnie przestrzegł: położyłem się w ubraniu, nawet z czapką na głowie. Obudziła mnie ogólna krzątanina w stodole, rozmowy. Ludzie wstawali, strzepywali słomę, zabierali swój podręczny dobytek i wychodzili na dwór, na słońce. Obok ojca krzątał się jego syn i od razu spostrzegłem, że coś się stało. Podniosłem się z wysiłkiem i na obolałych nogach podszedłem do nich. Zrozumiałem od razu. Ojciec nie mógł iść dalej. Siedział oparty o deski przegrody i patrzył na swoje stopy, syn stał obok i trzymał w rękach jego buty. Stopy ojca były potwornie spuchnięte, z zakrzepłą krwią i pęcherzami. Nie było mowy o tym, by mógł włożyć buty — zresztą nie mógł się nawet podnieść, był całkowicie rozbity i chory. Patrzył na nas — wstała już i reszta naszej gromady — jakby się wstydził i przepraszał. Nie było czasu na sentymenty, po kolei podawaliśmy mu ręce bez słów pociechy szykowaliśmy się do odejścia. Wtedy ojciec powiedział do syna: — Włodek, idź z nimi.

Włodek stał bezradny z butami w rękach i patrzył to na ojca to na nas. Odruchowo postawił buty na słomie i usiadł obok ojca. — Zostanę z tobą, tatusiu, dziś, jutro to się wygoi — pójdziemy razem.

Ojciec patrzył chwilę, a potem spurpurowiał na twarzy, z wysiłkiem uniósł się na rękach, jakby chciał wstać i krzyknął: — Pójdziesz z nimi! Masz mnie słuchać! Opadł na słomę i kiedy syn padł mu w objęcia, objął go ramionami i choć nie patrzyłem na nich, słyszałem że szlochał. Wyszliśmy ze stodoły w podwórze, dostaliśmy trochę mleka i chleba, jedliśmy w milczeniu. Niedługo ze stodoły wyszedł Włodek, dołączył do nas. Udawaliśmy, że nic się nie stało i nikt z nas nie powiedział słowa... W małym miasteczku, do którego weszliśmy późno po południu był rynek z klombami kwiatów i nie uprzątnięte zabite konie na chodniku. Były spuchnięte, wydawało się, że dwa razy większe i obsiadały je stada dużych much. Niedaleko od tych koni była piekarnia, a na chleb czekało się w ogródku, w długiej jak tasiemiec kolejce. Chleb miał być za parę godzin, ale nikt nie wychodził z szeregu. Dopiero później, kiedy miasteczko bombardowały samoloty, tasiemiec rozdzielał się na człony, jakby eksplodował — rozbiegaliśmy się, gdzie kto mógł, by znów wrócić i znów uciec, strach i głód oddawały nas sobie na przemian jak piłkę w wesołej zabawie. Już pod wieczór chleb dostaliśmy i szliśmy dalej...

Od strony Warszawy słychać było rytmiczny głos broni maszynowej, a zaraz potem podobny głos doszedł jakby zza nas, z zaplecza szosy, od strony budynków leciwie stąd widocznych poprzez rzadki lasek. Jednocześnie szosą jechały dwa motocykle z przyczepami, niezbyt szybko, po pustej szosie, jak na wystawie. W motocyklach byli Niemcy, ci w koszu trzymali ręczne karabiny maszynowe przed sobą. Leżąc na ziemi widziałem ich twarze, przerażone i zdumione twarze, bo nikt do nich nie strzelał. Myślałem że śnię, że to fatamorgana, przywidzenie czy moje szaleństwo. Tu wojsko, nasze wojsko, tam Niemcy, na pustej szosie, na dwóch motocyklach i nikt nie strzela, a oni jadą, oddalają się, znikają z oczu... Nie! Nie przejadą! Już strzelają, już słychać okrzyki naszych, już wojsko jest znów na szosie, już w twarzach jest zapał, energia, widzieli wroga i zniszczyli go. Już tworzy się grupa ochotników, trzeba zniszczyć gniazdo dywersji, tam z tyłu, w tych budynkach, skąd strzelali, a teraz zamilkli... Spieszony rotmistrz obejmuje komendę, wyjmuje pistolet z kabury i odchodzą... Patrzę za nimi. Rotmistrz jest przystojny — w bryczesach, po wewnętrznej stronie ud ma wszytą, zieloną, zamszową skórę... Mija trochę czasu i z tyłu, za nami odzywa się nagle gwałtowna strzelanina, a krótko potem słychać kilka, szybko po sobie następujących wybuchów. Ktoś mówi, że to granaty, a ja domyślam się, że tam działa rotmistrz z grupą ochotników...

Ktoś z mojej grupy proponuje przeskoczyć szosę i dostać się do Warszawy z innej strony — mówi, że tu z wojskiem nie mamy co robić, cywile bez broni, najwyżej możemy oberwać. Krótka narada i decydujemy się, ale nie można iść zaraz, bo znów szosa jest ostrzeliwana — nie wiadomo skąd, przez kogo i po co. Czekamy i kiedy ogień milknie przeskakujemy szosę po jednym, po dwóch — kryjemy się w kartofliskach, czołgamy się i oddalamy...

Wreszcie jesteśmy w Warszawie. Weszliśmy od strony Osiedla Robotniczego „Zgoda". Szukamy jakiejś jednostki wojskowej, koszar. Wreszcie są koszary. Przy bramie stoi wartownik. Podchodzimy.

— Stój! Czego?

Tłumaczymy, że chcemy mundurów i broni, że chcemy się bić.

— Nie ma broni, nie ma mundurów — mówi wartownik.

— Co mamy robić? — pytamy.

— Gówno mnie to obchodzi. Stąd jazda! Szukajcie gdzie indziej!

Z bramy wychodzi oficer, kapitan.

— Co tu się dzieje?

Tłumaczymy jak przedtem. Oficer wzrusza ramionami.

— Nie ma broni...

— Co mamy robić?

Ten sam ruch ramion. — Szukajcie szczęścia, może inni was przyjmą — i kapitan odchodzi, a my patrzymy za nimi bezradni...

Co się dzieje?

Styczeń jest miesiącem podsumowań i planów. Niedawno właśnie dowiedzieliśmy się o interesującym projekcie Muzeum w Sieradzu, które w porozumieniu z Wydziałem Kultury Prez. WRN, Katedra Etnografii UŁ i Muzeum Etnograficznym — postanowiło w bieżącym roku rozpisać Wielki Konkurs sztuki zabawkarskiej i... wierzeń ludowych. Ta, cały rok trwająca akcja, ma ocalić od zapomnienia piękne, a gasnące już tradycje wsi sieradzkiej. Warto więc przyklasnąć pożytecznemu pomysłowi, który, jak należy przypuszczać — przyniesie wiele ciekawych rezultatów.

* * *

Również i Muzeum w Wieluniu ogłasza pierwszy na swoim terenie Konkurs Sztuki Ludowej. Ma on wzbogacić zbiory tej młodziutkiej placówki.

* * *

Szereg interesujących pomysłów przygotowują na ten rok rady klubów Łodzi i województwa. Postanowiono nawiązać stałą i ścisłą współpracę klubów istniejących w Łodzi z klubami terenowymi. Ma ona obejmować m. in. wymianę planów pracy, zespołów artystycznych i wystaw, wzajemny udział w ważniejszych zebraniach i imprezach, a także wspólną organizację wycieczek. W maju, tradycyjnym już zwyczajem odbędzie się II Sejmik Klubów Młodzieżowych. Dwudniowy, w Tomaszowie Mazowieckim; zawody sportowe, wystawy, imprezy i spotkania, festyny, zabawy, tańce. Aż zazdrość bierze, że człowiek już w wieku nieco „pozetemesowskim"...

* * *

„Pani Prezesowa" w Wieluniu!!! Tylko 30 stycznia!!! Nie wszystkim pewnie wiadomo, że „Teatr 7.15" opuszcza co pewien czas swoją łódzką rezydencję i (z rzadka, z rzadka) odwiedza miasta i miasteczka naszego województwa. Ludzie się cieszą, bo wciąż za mało teatrów tego typu dociera w teren.

Nie dziwię się tedy, że wieluńanie szykują się na to przedstawienie jak na, co najmniej, wizytę starszej pani...

H. K.

ALEKSANDER GRYWAŁT

Dalej jest już Hiszpania...

Notatki z podróży

(II)

6.

Naglemu przybyciu łysego mężczyzny o głębokich, czarnych oczach, towarzyszy włączenie radia. Obserwuję go zza gazety. W radio tony bardzo sentymentalne. Mężczyzna częstuje mnie długim, hiszpańskim papierosem. Rozumiem to jako zaproszenie do rozmowy. Ale od czego zacząć. Pytam o restaurację. Informacja jest skrupulatna. Najlepiej jadać z prostymi ludźmi („La gente trabajadora"). Potem rzuca nagle w moją stronę: Czy pan jedzie do Madrytu? — Tak — odpowiadam. — Ładne miasto, Madryt — mówi mężczyzna i wyłącza radio, bo tam spikerka podaje komunikaty o niedzielnych wycieczkach organizowanych, jeżeli dobrze rozumiem, przez sekcję młodzieżową Falangi. — Dlaczego pan wyłączył radio? — pytam. — Bo słyszałem to już z dziesięć razy — odpowiada. A w niedzielę i tak nic prócz kościoła mnie nie czeka — dorzuca nagle. — A pan sobie pojedzie do Madrytu — tutaj zaś u nas nic się nie zdarzy, nic się nie zdarzy, nie radziłbym panu tutaj zamieszkać, nic lepszego oprócz chodzenia po moście, a w kawiarni, niech pan zobaczy, sami klerycy. Dla pana, jako dla „extranjero", to może i ciekawe, ale dla nas, nuda, że aż głowa od nudy pęka, niech pan nie myśli, że tutaj na każdym rogu ulicy spotka pan Cyda, tak, tak, Cyd umarł w Walencji, a nowy już się nie narodzi — dorzuca śpiesznie i teraz nie mam już wątpliwości, że tę niespodziewaną dla mnie spowiedź hodował w sobie od dawna, czekał na kogoś, na jakiegoś „extranjero". Więc słucham. Ale on milknie, gdy na korytarzu pojawia się czarna postać kobieca. Potem mówi do mnie. — Czy pan reflektuje na jakieś specjalne potrawy hiszpańskie? Tak, mówię, właśnie chcielibyśmy znaleźć jakąś taką restaurację i wyciągam kartkę papieru, na której zapisałem sobie nazwy oryginalnych potraw hiszpańskich. Na przykład, mówię, patrząc w kartkę, na przykład „calamares en su tinta". No tak, mówi, oczywiście, owoce morza we własnym sosie, wszędzie pan to dostanie, ale, niech pan to sobie zapamięta, to tak na marginesie, u nas tutaj, w Hiszpanii „se puede morir en su tinta", można umrzeć we własnym sosie. I na tym rozmowa się kończy. Idziemy, każdy w swoją stronę. Ja do pokoju, a on znika gdzieś na schodach.

O rannej porze Burgos ukazuje nam inne oblicze. Nie można rzec, że ludzie śpieszą się do pracy. Powoli przechadzają się, snują bez celu. Zdumiewająca ilość kulawych mężczyzn.

Oprowadzający nas po katedrze przewodnik jest dostatecznie nasycony laickim sceptycyzmem, aby nie oszczędzić sobie ironicznych uwag, wtrącanych tu i ówdzie w gładko płynący potok jego objaśnień. Gdy w pewnej chwili przyłącza się do naszej grupy kilku młodych seminarzystów, ściszając głos, mówi: — To jest rzekomo najlepszy surowiec, jaki Hiszpania wysyła za granicę. Przygotowany solidnie, jest co roku transportowany do Ameryki Południowej, która, między nami mówiąc, już wkrótce obejdzie się znakomicie bez niego.

Bogactwo katedry jest niespotykane. Oszczędzimy sobie jej opisu. Wychodząc już, spostrzegamy nagle, że stąpaliśmy po płycie grobu Cyda, który zginął w Walencji, lecz tutaj leży pochowany wraz z małżonką swoją (Eximina uxor eius). Żegnamy Burgos bez żalu. Nie zagrzaliśmy tutaj nawet miejsca. Kiedy przejeżdżam przez miasto, aby wydostać się na szosę do Salamanki, uderza mnie nagle wielkie podobieństwo twarzy wszystkich prawie przechadzających się mężczyzn do twarzy wczorajszego, przygodnego rozmówcy z hotelu.

Salamanka zalana turystami, którzy sprawiają wrażenie zawiedzionych. Po obejrzeniu uniwersytetu, po zwiedzeniu Catedra Nueva i Catedra Vieja, niektórzy pójdą może jeszcze do Domu Muszli (Casa de las Conchas), ale wszyscy powrócą z pewnością na Plaza Mayor. Tutaj, pod wieczór, odbywa się nieustanne i pasjonujące paseo. Mieszkańcy, szczególnie zaś mieszkanki krążą wokół placu z gorliwością godną lepszej sprawy. W ciągu kilku godzin, przechadzając się po mieście, wróciliśmy chyba ze cztery razy na Plaza Mayor, spotykając wciąż te same trzy kobiety, ubrane z dystynkcją, z błyskami w oczach, o biustach niespokojnie falujących. O paniach tych w żaden sposób nie można orzec czy są szanowanymi żonami i matkami czy też należą do uprzywilejowanej grupy „lekkich dziewcząt", skorych do baraszkowania z przybyszami z kontynentu.

Jest już prawie północ. Na jednej z ważniutkich uliczek odkrywamy strzelnicę, gdzie kilku smutnych chłopców celuje z wiatrówek do przesuwających się słoni. Upał całego dnia wyszedł z miasta, ale uczynił nieznośnym zapach oliwy. Przed zamkniętą kasą oszczędności żebrze ślepy mężczyzna. Plaza Mayor pustoszeje. Z kina, gdzie wyświetla się jakieś amerykańskie głupstwo „z najsilniejszym człowiekiem świata" w roli głównej — wysypało się trochę ludzi. Ale nikt już nie ma ochoty na przechadzki. O tej porze zasypia się w Salamance. Telewizja skończyła reportaż z meczu piłki nożnej. Zegary dzwonią na wieżach kościołów. Przed naszą „pensión" stajemy bezradni. Drzwi są zamknięte. Nagle przypominam sobie wyjaśnienia starego właściciela, że w takich wypadkach należy „dar las palmas" — klaskać w dłonie. Skutek jest natychmiastowy. Staruch w szlafroku prowadzi mnie do pokoju, który znajduje się po prostu na strychu. Łóżko dotyka prawie gardzieli komina. A może to tylko moje przywidzenie, jakiś sen, bo uprzejmy gospodarz zapewnia mnie, że

pokój zarezerwowany jest dla „gente bien", ludzi na poziomie. Mam ochotę odesłać go do wszystkich diabłów, lecz znika pośpiesznie za drzwiami, zaryglowując mnie z drugiej strony.

7.

Prawdziwe przeżycie krajobrazu hiszpańskiego ma miejsce na drodze z Salamanki do Madrytu. Nie dziwię się, że pisarze słynnego „Pokolenia 98", wszyscy prowincjusze przybywający do Madrytu tak wiele miejsca poświęcają temu krajobrazowi. Antropomorfizują go, obdarzają cechami najwyższego sprawcy psychologii hiszpańskiej. Nazywają go monotonnym i groźnym, nieskończonym i monoteistycznym. Krajobrazem nasyconym duszą, krajobrazem ogromnym, wobec którego człowiek czuje się mały. Sosny są tu smutne, rosnące grupkami, samotne topole mogą symbolizować niezależność i wytrwałość. Rzeki zdarzają się często, pędzą wąskimi korytami, płytkie, nierzadko zupełnie wysuszone. Krajobraz hiszpański odwija się powoli, jego surowe piękno jest z pozoru niepewnym ułożeniem elementów przypadkowych, przywołaniem do snu, który może stać się obsesją całego życia, najwyższą wartością, a także obsesją artystyczną. Nic dziwnego więc, że sen tak ważne zajmuje miejsce w literaturze tego narodu. Nic dziwnego, że pisarze „Pokolenia 98" nazwani zostali przez Pedro Lain Entralgo (autora książki o tej grupie literackiej) „Los tristes sonadores del 98".

Czy współczesność wkroczyła w ten krajobraz? Tak. Wkroczyła przede wszystkim pięcioma żelaznymi strzałami — znakiem Falangi. Przede wszystkim tym. Bo w rozrzuconych rzadko miasteczkach czas się zatrzymał. Nieliczne są, oprócz stacji benzynowych, symptomy nowoczesności. Technika stała się tutaj udziałem kilku największych miast. Patrząc na bezczynnie wyczekujących przed domami ludzi mam wrażenie, iż jedynym ich przywilejem jest to stanie bez końca. Spoglądają na nas wzrokiem na poły zdumionym, na poły wyrozumiałym. Dziwią się może, że zdecydowaliśmy się tutaj wkroczyć. Wyrozumiali są dla naszej odmienności. Pogodzeni z ich nieruchliwością, oddani na pastwę słońca, nasycili swój smutek postawa pełna godności. Nie ma w nich włoskiej krzykliwości i powierzchownego zainteresowania. Owszem, rozmawiają z nami, ale pytania z ich strony padają rzadko. Widać, to w każdym razie narzuca się z całą siłą, że nie mogą pozwolić sobie na luksus marzenia.

I tak docieramy do podnóża Sierra de Guadarrama. Tutaj dyskusja z grupą robotników pracujących przy drodze. Którędy jechać do Madrytu? Drogą przez Sierrę czy nowo wybudowanym tunelem? Decydujemy się na tunel. Ale zanim pojedziemy do stolicy, zbaczamy do Escurialu.

„Real Monasterio de el Escorial — Patrimonio Nacional, IV Centenario 1563 — 1963. Billete de conjunto para visitar: palacios, panteones, salas capitulares, bibliotecas, nuevos, museos, casita del principe (planta baja) y casita de arriba". Oto tekst wydrukowany na „całościowym bilecie" (billete de conjunto) wstępu do Escurialu. Zwiedzanie klasztoru i wszystkich wyszczególnionych w tekście biletu zabytków i sal w ciągu trzech godzin staje się prawie wyczynem sportowym. Mimo przepychu i ogromu Escurial zawodzi nasze oczekiwania. Za bardzo wycelowany jest w wielkość. Intencja nieśmiertelności jest tutaj zbyt dotykalna. Wszystko jest tak przepyszne, że aż zimne. Chłodem wieje szczególnie w podziemiach, gdzie przechodząc z sali do sali oglądamy dziesiątki trumien i grobowców. Nie lada trumien i nie lada grobowców! Królów, ich żon, infantów, infantek itd. Warto zauważyć, że nie wszystkie trumny są zamieszkałe przez czcigodnych zmarłych. Wiele jest pustych, czekających na śmierć tych, których potomność zechce tu pogrzebać. O ile Escurial należy do epoki odeszłej, o tyle Valle de los Caidos (Dolina poległych) ma przypominać o milionie poległych w Wojnie Cywilnej. Z premedytacją też zbudowano tę świątynię i olbrzymi krzyż nieopodal Escurialu. Tu pochowano założyciela Falangi — Jose Antonio Primo de Rivera. Samą konstrukcję, której zamierzona monumentalność nie ma w sobie żadnego wdzięku, należy rozumieć jako gest pojednania, miłosierdzia wobec wszystkich poległych w okresie Wojny Cywilnej. Ten gest miłosierdzia w tonacji fortissimo ma być też niejako symbolem wspaniałomyślności rządzących dzisiaj Hiszpanią wobec tych, którzy ośmielili się podnieść rękę na tradycyjny porządek rzeczy. Innych pomników w Hiszpanii stawiać im nie wolno. Mówi się o nich po prostu zawsze w trzeciej osobie liczby mnogiej „los rojos". Ale pomniki postawili i stawiają im inni: Malraux, Hemingway, Fryderyk Rossif wstrząsającym i wielkim dokumentem naszych czasów — filmem „Umrzeć w Madrycie".

8.

W Madrycie ludzie są bardziej gładcy i obyci, łatwiejsi do zagadnięcia, choć i tutaj, jak wszędzie w Hiszpanii każdy zagadnięty człowiek bywa uprzejmy i rozmowny do pewnych tylko granic, nosząc zawsze ze sobą tarczę nieufności w stosunku do cudzoziemców. Szukając noclegu, po kilku niepowodzeniach, po rozmowie ze sprężystym młodzieńcem, który szczerze i otwarcie poinformował nas, że dla Polaków znalezienie wolnego pokoju w domu akademickim przedstawiać może dodatkowe trudności, po stwierdzeniu, że po godzinie 22.00 wszystkie „pensiones" i w ogóle bramy są już zamknięte, zawieramy znajomość z jedną z podstawowych instytucji hiszpańskich. Ze stróżem nocnym. Lud nazywa go tutaj „sereno". Ten miły przymiotnik występuje jednak w funkcji rzeczownika i określa owego mężczyznę, najczęściej w średnim wieku, o zmęczonych, nie wyspanych oczach, biegającego całą noc z kluczami od wszystkich drzwi i wind, znajdujących się w jego rejonie. „Sereno" jest więc Bogiem — omnibusem. Będąc współczesnym przedłużeniem starej średniowiecznej instytucji stróża nocnego, jest „sereno", nie mogę się oprzeć temu wrażeniu, wynalazkiem szatana. Wiedza jego o ludziach rejonu czy ulicy, gdzie sprawuje władzę sięga tak daleko, iż nietrudno się domyślić jak bardzo może być użyteczny dla gości, komu na informacjach o mieszkańcach poszczególnych domów mogłoby zależeć. „Sereno" jest znakomicie zorientowany, gdzie są wolne pokoje, potrafi także cytować z pamięci, kto w jakim pokoju mieszka. Jeździmy skrzypiącymi windami, lecz bez skutku. Wszędzie tutaj obrzuca nas podejrzliwy wzrok właścicieli. Tłumaczy nam się też w sposób prosty, że pościel nie została zmieniona. Od jutra — byłoby możliwe. W końcu znajdujemy „pensión", która, jak się okazuje nazajutrz wieczorem jest po prostu przytułkiem dla przedniej urody panienek, uprzyjemniających panom nocne rozrywki. Dowiaduję się o tym od kucharki, z którą nawiązałem zabawną rozmowę o obyczajach, a która stwierdza, iż te wszystkie panienki grające właśnie w domino wyjdą około północy na ulicę i rozejdą się po okolicznych lokalach.

Rano budzi mnie niezrozumiały refren wykrzykiwany przez ślepego mężczyznę, sprzedającego losy na loterię. Tak na odległość nie rozumiem dokładnie o co mu chodzi. Powtarza bez przerwy: „Cuarenta y tres! Cuarenta y tres! Cuarenta y tres!"

Stoi wyprostowany, z odkrytą głową, [illegible] mając przed sobą pudełko z losami. Ale nikt tych losów nie kupuje. Tłum przesuwa się obojętny. Takim go zapamiętuję. Takim też pozostaje mi w pamięci Madryt — piękna stolica Hiszpanii. Mimo pięknych wycieczek, mimo zdumiewającego bogactwa muzeum Prado.

9.

Mijamy miasteczka, przejeżdżamy przez wielkie miasta. Toledo, Grenada, Barcelona, skąd ruszamy w stronę granicy hiszpańsko-francuskiej. Barcelona zdumiewa swoim ogromem i rozmachem. Także kontrastami.

W Barcelonie spałem jedną noc w samochodzie, na jednej z bocznych ulic, wspaniałej Paseo de Gracia. Obudziła mnie grupa robotników przygotowujących się do polewania ulicy. Częstuję ich papierosami. Staram się nawiązać rozmowę.

— No i jak się panom żyje? — pytam. Są nieco onieśmieleni, nie wiedzą, mam wrażenie, o co mi chodzi. Jeden z nich rzuca wreszcie w sposób typowo hiszpański: — Regular. Se vive a la buena de Dios. I tę odpowiedź zapamiętuję. A la buena de Dios znaczy tutaj tyle co „z dnia na dzień", ale i w tym starym, charakterystycznym zwrocie hiszpańskim nie oszczędzono sobie osoby Pana Boga.

Czy więc tutaj — rozumuję — leży klucz do losów tajemniczej Hiszpanii? Kojarzę to z przygnębiającym obrazem jednej z kaplic w katedrze barcelońskiej, gdzie odprawiają błagalne modły dotknięci nieszczęśliwymi wypadkami lub chorobami ludzie. Zagrożeni utratą nogi, ręki lub oczu, ciężko chorzy na płuca itd. Schodzi się tutaj ta upośledzona masa ludzka i na kleczkach, częstokroć w gestach pełnych teatralnej pozy, prosi Boga o uzdrowienie. Na ścianach kaplicy pozawieszano symboliczne, zrobione z jakiejś sztucznej materii ręce, nogi, płuca, te wszystkie części ciała, które Bóg raczył bądź ocalić, bądź też uzdrowić. W tej wysokiej kaplicy, tuż u szczytu jednego z okien, ktoś przemyślny zrobił otwór poprzez który wpada prosty, wspaniały, jakko drżący snop światła. W tej ciemnej kaplicy robi to zaiste wrażenie imponujące. Jest to, symbolicznie rzecz biorąc, przedsionek cudu. Nad wszystkim czuwa Bóg. Czuwa także nad językiem. Czuwa nad aktami, wykonywanymi z dnia na dzień. Czy czuwa jednak także i nad świadomością? Czy poczucie o znakomitości bożej sprawiedliwości zdoła ukołysać skłonną do buntu świadomość? A uśpienie tej świadomości równa się przecież zgodzie na świat zastały. Na życie z dnia na dzień, A la buena de Dios.

Gdy opuszczamy Barcelonę jest jeszcze ciemno. Wydostajemy się na szeroką drogę, biegnącą wzdłuż morza. Potem droga biegnie przez pola. Mrok nocy przerzedza się już dobrze i widzę jak po tej drodze wysadzanej wierzbami jadą niskie wozy ciągnięte przez woły. Wozy jadą powoli. Obok wozów idą milczący ludzie. Nagle — olśnienie! Przecież znam ten obraz. To przecież pierwsza wzruszająca sekwencja znakomitego filmu Rossifa „Umrzeć w Madrycie". I — zda się — słyszę smutne zawodzenie gitary. I jest to wspaniałe, podwójne, aż wwiercające się w serce, odkrycie krajobrazu i człowieka Katalonii.

Jakim morałem ocenić ten obraz? Że praca wszystko zwycięża, że miłość może wszystko zwyciężą? Ależ nie, przecież po tej sekwencji, w filmie Rossifa pokazano wstrząsające sekwencje buntu. Śpiew gitary niczego nie zdołał uśpić.

Tak rozmyślam przy kierownicy, aż ukazuje się z boku ściana Pirenejów, a w uchu zaczyna znowu dźwięczeć francuska mowa.

WALTER TOMAN

TEATR POWSZECHNY PANA BUSSEGO

Właściwie to nie powiodło mi się w życiu. Wcześnie musiałem się imać zawodu jako że matka umarła przy moich narodzinach, a ojciec uległ śmiertelnemu wypadkowi, zanim skończyłem szkołę i zdołałem pomyśleć o jakimś terminowaniu. Nie poszedłem więc do terminu, tylko od razu do normalnej roboty. Dzięki temu mogłem się jakoś przepchnąć dalej, bo w terminie nie zdziałałbym wiele o własnych siłach. Ostatecznie zostałem pakowaczem czekolady, jest to zajęcie, które można w lot opanować i w ciągu tygodnia człowiek tak się do niego wdroży, że nie potrzebuje się już później niczego douczać. Mówiąc poważnie, nie jest to żadna robota. Muszę tylko doglądać maszyny i uważać, aby wszystko szło jak należy, i na czas dostarczyć papieru. Z tym nie ma kłopotu, a co się tyczy innych rzeczy, potrzebuję tylko zadzwonić, jak coś nawali. Przychodzi mechanik i migiem usuwa defekt.

To jest lekka robota, dlatego też od czternastego roku życia dostaję tę samą płacę. Nie da się tu przejść na akord, bo całą robotę wykonuje maszyna, a jeszcze lepiej uważać wcale nie potrzeba, jako że muszę tylko baczyć, czy coś nie „wysiada", a to dobrze widzę po opakowanych tabliczkach, które wyrzuca automat. Początkowo próbowałem zapoznać się z mechanizmem maszyny, aby spostrzec defekt, nim wyskoczy przez otwór źle opakowana czekolada. Ale to się nie podobało moim zwierzchnikom, gdyż od tych spraw jest mechanik i kiedy to pewnego razu pomimo upomnienia zadzwoniłem na niego, chcąc mu pokazać obluzowaną śrubę w dźwigni, rzucił okiem na opakowane tabliczki czekolady, mknące na taśmie zgodnie z planem, a potem — ofuknął mnie surowo. Powiedział, że nie może przychodzić z powodu każdej obluzownej śruby, są takie śruby co to od dwudziestu lat chyboczą się i prawie że wypadają, a jednak trzymają się mocno, i w końcu poskarżył się dyrekcji, która udzieliła mi surowego ostrzeżenia. Jeszcze jedno ostrzeżenie, powiedziano mi, i pożegnamy pana.

Nie żądają więc ode mnie niczego poza naciskaniem dźwigni, kiedy zobaczę w otworze automatu źle opakowaną tabliczkę, i muszę właściwie jedną tylko rzecz ulepszać, czas reagowania. Udało mi się obniżyć mój czas z jednej sekundy na pół sekundy, to znaczy, że wezwany mechanik zobaczy teraz nie dwie, tylko jedną źle opakowaną tabliczkę w otworze. Zresztą dzwonek, którym przywołuję mechanika, jest podłączony do mechanizmu wyłączającego pracę automatu. Dawniej mieliśmy do tego celu oddzielną dźwignię i chociaż dobrze działała, bo wystarczyło uruchomić najpierw dźwignię wyłączającą, a potem, w sekundę później, dzwonek, to jednak usunięto to urządzenie. Mechanik potrzebuje niecałej minuty, żeby dojść do stanowiska, i ta sekunda opóźnienia nie miała naszym zdaniem żadnego znaczenia. Mimo to pewnego dnia rozdzwoniły się po naciśnięciu dźwigni sygnały przywołujące, i pomyśleliśmy sobie: mamy jednak rację.

W każdym bądź razie obniżyłem czas reagowania do pół sekundy, i jak maszyna wyrzuci źle opakowaną tabliczkę czekolady, to mogę oszczędzić przedsiębiorstwu drugą i trzecią, bo te niewłaściwie opakowane tabliczki należą do nas, ale i tak nie udało mi się dzięki temu otrzymać podwyżki. Przeciwnie, przekonałem się na podstawie opinii dyrekcji, że im wcale nie zależy na tym, abyśmy skracali czas reagowania. W wypadku defektu automatu powinniśmy puścić te dwie czy trzy tabliczki czekolady, które znajdują się jeszcze w maszynie, jest czasem siedem albo osiem, ponieważ są one własnością mechanika, a dyrekcja nie ma absolutnie zamiaru mieszać się w taką sprawę, i wywoływać nieporozumień między nami a mechanikiem. Przeciwko skracaniu czasu reagowania przemawiały względy psychologiczne i jakkolwiek niechybnie nie zabrania się skracać czasu, to myślę jednak, że nie bardzo mnie lubią za te pół sekundy.

Miałem zatem od czternastego roku życia tę samą płacę, a widoki na to, że jeszcze do końca życia dostanę podwyżkę, są znikome i nie ma w gruncie rzeczy nadziei na poprawę sytuacji i dlatego nigdy się nie ożenię.

Po skończonej robocie szedłem zawsze na dłuższy spacer, raz w tygodniu wypijałem kufelek piwa albo oglądałem jakiś film w podrzędnym kinie. Kiedy zrezygnowałem z piwa lub z kina, to w następnym tygodniu mogłem zaprosić dziewczynę, i na tym kończyły się moje rozrywki. Ale dziewczynie, z którą chciałoby się nawiązać trwalsze stosunki, trzeba było postawić przynajmniej dwa kufelki piwa albo też jeden po kinie, a na taką fundę nie starczała moja tygodniówka. Dlatego dziewczyny nie dały się już ponownie namówić, gdy miałem znowu pieniądze na dwie osoby, ani na kino, ani na piwo, nawet wówczas, kiedy im proponowałem, że zapłacę kino, a sam poczekam na ulicy, a potem postawię piwo, sam już nie pijąc, lub najwyżej jeden łyk z ich kufelka. Za drugim razem nie chciały o mnie w ogóle słyszeć, ale przyczyną mego niezadowolenia nie była praca czy wynagrodzenie, lecz te kłopoty z dziewczynami.

M. Gałkiewicz — Rzeźba

W zeszłym tygodniu w czasie spaceru, który chwała Bogu nic nie kosztuje, minąłem nagle biuro z szyldem: Teatr powszechny pana Bussego. Zrazu pomyślałem, że znajduje się tutaj przedsprzedaż biletów, ale gdy zacząłem czytać afisz, przyklejony do szyby wystawowej lokalu, otworzył się nagle w mojej fantazji świat pięknych możliwości. Afisz głosił, że każdy zgłaszający się będzie przyjęty, nie wymaga się specjalnych umiejętności poza tymi, które każdy posiada, i że każdy będzie zatrudniony zgodnie ze swoim talentem, i że biuro pracuje non stop, w dzień i w nocy. Wolno więc, proszę, wstąpić.

Nigdy nie myślałem, że może znaleźć się dla mnie jakiś inny zawód. Moje umiejętności były dość szczególne i nazbyt skromne, nigdy nie potrafiłem stwierdzić, czy posiadam jakiekolwiek talenty, ale biuro jest czynne dzień i noc, a zatem i teraz. Nie pozostało mi nic innego jak wstąpić i wywiedzieć się o wszystkim.

Wszedłem do pokoju, w którym znajdował się tylko stary stół i fotel. Przy stole siedział chudy ciemnowłosy mężczyzna który w leżącej przed nim księdze obliczał właśnie kolumny liczb.

W pierwszym momencie nie spojrzał nawet na mnie i już żałowałem prawie, że wszedłem tutaj, chociaż niczego przecież nie chciałem pozą nie wiążąca informacja Biuro teatru powszechnego pana Bussego było dość posępnie urządzone, nie dostrzegało się tego z zewnątrz, ponieważ zarówno drzwi wejściowe jak i tylna ściana były z matowego szkła. Wreszcie chrząknąłem i kiedy po chwili znowu chrząknąłem, mężczyzna uniósł głowę i spytał z czym przychodzę?

Powiedziałem, że chętnie bym się zapoznał z warunkami przyjęcia do teatru powszechnego pana Bussego.

— Jak się pan nazywa? — spytał, nie udzielając odpowiedzi, czy informacji.

— Henryk Winter — odpowiedziałem.

— Gdzie pan mieszka?

— Ulica Posępna 13 m 91.

— Pański zawód?

— Pakowacz czekolady.

— Gdzie?

— W koncernie Kaukau.

Mężczyzna odnotował wszystko, słowo po słowie, w księdze, która otworzył teraz na innej stronie. „Pan wybaczy — zwróciłem się do piszącego, ale chciałem tylko prosić o informacje. Nie wiem jeszcze, czy zdecyduję się na to zajęcie".

— Nic nie szkodzi — odparł mężczyzna — muszę jednak zanotować na wszelki wypadek. Jakie posiada pan szczególne talenty?

— Nie mam pojęcia. Gdybym wiedział, prawdopodobnie nie znalazłbym się tutaj.

— Jak to? — ciągnął dalej mężczyzna — Uważa pan, że do nas przychodzą tylko beztalencia?

— Tego nie powiedziałem, ale ja osobiście...

— Co panu dolega w życiu?

— Nie dostaję podwyżki, moja płaca jest tak mała, że nie mogę się nawet ożenić.

— Jest pan przyjęty — powiedział mężczyzna, po czym wstał, poklepał mnie po ramieniu i potrząsnął ręką.

— Czy rzeczywiście jestem przyjęty? — wykrztusiłem. Jaką pracę mi pan wyznacza? Dokąd mam się udać. Ile będę zarabiał? Gdzie mam zgłosić się po zapłatę?

— Niech się pan uspokoi, mój drogi — powiedział mężczyzna i uśmiechnął się kącikiem ust. — U nas wszystko załatwia się sprawnie według kolejności zgłoszeń. Ale przedtem musi pan opłacić taksę rejestracyjną.

— Taksę rejestracyjną? Ile?

— Pięć szylingów, mój drogi. Jeśli pan nie może tyle, wystarczy szyling.

W tym tygodniu odmówiłem sobie piwa i nie byłem także w kinie, miałem więc dokładnie szylinga, wyciągnąłem go z kieszeni i zapłaciłem. Mężczyzna wrzucił pieniądz do szuflady, która przy otwarciu zamigotała tysiącem monet, zaksięgował sumę w księdze i kazał się podpisać. Potem powiedział: Tymczasem będzie pan mieszkał przy ulicy Posępnej 13 m. 91 i pracował jako pakowacz czekolady w koncernie Kaukau. Jutro podejmie pan pracę, tak jak wczoraj i dziś, przy tej samej maszynie, wynagrodzenie będzie pan pobierał w końcu każdego tygodnia w kasie przedsiębiorstwa, a nazywa się pan Henryk Winter. A zatem powodzenia!

Potrząsnął mi ręką, wypychając za drzwi. Podziękowałem i udałem się do domu. Jednak po kilku minutach cała ta sprawa wydała mi się podejrzana, zawróciłem, wszedłem do biura i zastałem mężczyznę przy podliczaniu kolumn liczb w tej samej księdze. Tym razem spostrzegł mnie natychmiast i krzyknął: „Dobrze, że pan wrócił. Zapomniałem podać panu numer, pod którym został pan zarejestrowany. Jest to wyjątkowo niski numer, mianowicie 1001, to jest liczba podzielna przez 13. Niech pan sprawdzi w domu, jeśli umie pan jeszcze dzielić".

— Pan pozwoli — powiedziałem — ale pan zapomniał również poinformować mnie o mojej nowej roli i w ogóle o tym, co mam dalej robić.

— Przecież wszystko panu dokładnie już wyjaśniłem. Pan gra rolę Henryka Wintera. Wraca pan teraz do domu, jutro zaczyna pan pracę i wszystko zostaje tymczasem po staremu.

— Sądziłem, że będę grał w teatrze.

— Ależ gra pan także, mój drogi, gra pan także. Pan zapłacił przecież szylinga i złożył podpis.

— Właściwie to nic się dla mnie nie zmieniło. Przecież nie za to zapłaciłem szylinga.

— Jednak zapłacił pan za to. I niech pan nie zapomina, pan nie jest w teatrze pana Bussego, czy w jakimś innym teatrze, lecz w teatrze powszechnym pana Bussego. Akcent pada na p o w s z e c h n y.

— To był czysty przypadek — mruknąłem. I wyszedłem.

Mija tydzień, od kiedy zostałem przyjęty do teatru powszechnego pana Bussego i choć początkowo bardzo się złościłem, to obecnie przychodzi mi czasem na myśl, że cała ta historia nie była czystym przypadkiem. Mam znowu szylinga w kieszeni i jeśli nie wypiję kufelka piwa i nie zobaczę filmu, do przyszłej soboty będę już miał dwa szylingi, mogę zaprosić nową dziewczynę na kufelek lub do kina, albo będzie można powtórzyć z dawnymi dziewczętami ową podwójną propozycję, że zafunduję jej kino, a sam poczekam na ulicy, a potem wezmę ją na piwo, którego skosztuję nieco sam w sprzyjających okolicznościach, i jeszcze przypominam sobie, że ten facet z teatru powszechnego pana Bussego powiedział, iż wszystko zostaje tymczasem tak jak było, po staremu. Podkreślam, tymczasem.

Przełożył:

STANISŁAW KASZYŃSKI

Walter Toman, ur. w 1920 r. w Wiedniu. Pracuje naukowo jako profesor psychologii. Poza pracami naukowymi w języku angielskim i niemieckim opublikował kilka opowiadań.

S. K.

W stronę kategorycznego imperatywu

HENRYK PUSTKOWSKI

NIE MA ZNAKÓW NA ŚWIECIE (JEAN PAUL SARTRE)

Zbiegł na dół i spieszył ulicami miasta, cały wypełniony bolesnym głosem Zofii proszącej go o pomoc i jeszcze wieloma głosami ludzkimi. Spieszył, skupiony, zapatrzony przed siebie, w obawie, aby nie przepadł znak nowy.
(A. Kijowski — Pseudonimy s. 194. [1])

Placet comparare. A nawet w przypadku Kijowskiego porównywać należy. Kolejny tomik prozy (po „Pięciu opowiadaniach" i „Oskarżonym") wnikliwego i błyskotliwego krytyka podejmuje charakterystyczny dla Kijowskiego problem: określenia „kondycji ludzkiej", możliwości istnienia i wartościowania postaw moralnych w „świecie bez kodeksu". Odwołanie się do egzystencjalizmu (dodajmy od razu — krytyczne, polemiczne) jest tu nieuchronne. Tym bardziej, że egzystencjalizm zjawił się u nas nie tyle jako określona filozofia a raczej moda literacka. Za świadomością zaś Kijowskiego — pisarza, stoi Kijowski — krytyk. Rewidując wartości etyki egzystencjalistycznej wykazuje on jednocześnie nieprzydatność (właściwiej: nieadekwatność) egzystencjalistycznego wzorca literackiego w naszych warunkach. Jego proza niesie nie tylko propozycje moralne, jest jednocześnie propozycją wyjścia z impasu: literatura „swojska" acz zaściankowa czy literatura „ambitna" lecz nieautentyczna.

Autentyczność jest dla Kijowskiego równorzędna z kreowaniem bohatera będącego porte-parole autora, co więcej — „poszukiwaniem bohatera, o którym autor mówi „on", biorąc zań pełną odpowiedzialność" [2])

Dzieje każdego bohatera literackiego polegają na jego przemianie w mit, który żyje w świadomości kulturalnej niezależnie od dzieła, które go stworzyło. (A. Kijowski — Granice literatury. Twórczość 1962 r. nr 12). *Istnieją... w historii okresy nasilania się elementów archaicznych w życiu społecznym i psychice ludzkiej. Nasileniu takiemu sprzyjała w Polsce epoka porozbiorowa, sprzyjała mu także okupacja hitlerowska* (A. Kijowski — ibid.).

Proszę wybaczyć tę cytatologię. Ma ona jednak określoną rolę: wykazuje, jak konsekwentnie łączy Kijowski postulaty krytyczne z własną praktyką literacką. Losy bohaterów dwu opowiadań Kijowskiego są wyznaczone przez wojnę i okupację. Ona (okupacja) wywarła nieodwracalne, destrukcyjne działanie na ich psychikę. Nie poprzez okropności tamtych czasów, lecz dlatego, że ich koszmar został przez bohaterów Kijowskiego (Katarzynę i Jędrka) zaakceptowany. Został przyjęty na zasadzie gry. W świecie, gdzie przewartościowano wszelkie wartości, jedyną sytuacją stwarzającą pozory stabilizacji jest „porządek". Ów „Ordnung" zafascynował Jędrka. Dziesiątki jego rysunków powielają jeden schemat: wojsko, celebracja kościelna, organizacja sportowa zatem instytucje lub sytuacje, w których elementy są koherentne, przewidziane. Chroniło go to od potworniejącego z dnia na dzień lęku. Dla Katarzyny (bohaterki „Pseudonimów") okupacja była powodem do „zabawy w konspirację". *Jest to czas ogólnego pokwitania, wszyscy są chłopcami, trwa wielka zabawa w podchody... Ta gra jest jej życiem prawdziwym, wszystko inne — praca, nauka, dom — imitacją życia,* s. 29) Konsekwentne zaangażowanie się w „grę" nie pozwoli jej na przestawienie się psychiczne w czasach powyzwoleniowych. Będzie wywoływało kompleks zagrożenia. (*Konspiracja nie kończy się nigdy. Wojna nie kończy się nigdy*). Skoro mistyfikacja zostanie uznana za prawdę, trzeba konsekwentnie późniejsze prawdy odrzucać jako mistyfikacje. Katarzyna mogła żyć jedynie wśród pseudonimów — przejście do „realności" kończy się dla niej katastrofą.

Kijowski stwarza rzetelną motywację psychologiczną dla uprawdopodobnienia takiej postawy. Okres konspiracji był dla Heleny - Katarzyny okresem szczególnego rozkwitu instynktów erotyczno-macierzyńskich. („Helena jest ich czułą opiekunką, niezawodną „Kasią", która sprzyja wszelkiej bufonadzie, która każdemu ofiarowuje spojrzenie pełne zachwytu i szorstką czułość" s. 29). Kochała swego dowódcę Kmicica (to pseudonim oczywiście), stąd natrętnie przez Kijowskiego podsuwany motyw „mężczyzny z chlebakiem" i „wznoszącej się ulicy", na której Katarzyna spotyka Kmicica po raz pierwszy. To uczucie zostaje skontaminowane z kompleksem ojca. W jej opowiadaniach ojciec przybierze bohaterskie pozy. Później się dowiemy, że był to alkoholik, który zginął przypadkowo w pierwszych dniach wojny. Helena umiera (popełnia owo szczególne „samobójstwo") w rocznicę jego śmierci. Za kulisami jej tragedii kryje się ojciec, którego właściwie nie znała.

Opowiadanie „Szyfry" jest rehabilitacją ojca. Tadeusz — wyznawca przeciętności, outsider, człowiek „wykorzeniony" (okupację i lata powojenne przeżywa poza granicami Polski), pozostawiwszy pierwej rodzinę jej własnym losom, przyjeżdża w końcu do kraju na wieść o chorobie żony, której od dawna już nie kocha, której zresztą nie kochał nigdy. Pragnie wyjaśnić przyczyny tajemniczej śmierci jednego ze swych synów — Jędrka. Drugi syn — Maciek — pozostający z matką — będzie wprowadzał ojca w zawikłane sprawy okupacji, pomoże mu rozszyfrować tajemniczy kod znaków i symboli. Zakres przypuszczeń co do powodu śmierci Jędrka zawęża się z każdą kolejną rozmową z ludźmi, którzy mogliby cokolwiek wnieść do historii chłopca. Od przypuszczeń — Jędrka zabili Niemcy, poprzez pewność już, że został on zabity przez członków konspiracyjnej organizacji, gdyż powodowany lękiem zadenuncjował Mariana — dowódcę „siatki", dochodzi się do prawdy banalnej: Jędrek został zabity, choć nikogo nie wydał. Marian wdał się z nim w bójkę (chcąc nastraszyć „szczeniaka") i ginie w przypadkowej strzelaninie. Jędrek musi za to zapłacić. Musi zapłacić za swój lęk, za manię prześladowczą. Ale przyczyną tego lęku jest nieobecność ojca, jest brak miłości.

— *Kto go zabił?* — myśli Tadeusz. *Kruk? Gryf? Ptak czy zwierzę z mitologii wojny? To symbole. Kto go zabił?*

Ja — powiedział i przedarł kartkę. My — dodał — kłamcy, twórcy pustych znaków (s. 193).

...Wszyscy jesteśmy postaciami z rysunków Jędrka... Rysunki Jędrka — był to świat form, świat bez miłości, świat, w którym wszystko jedno, kogo się zabija, kogo pożąda, każda wartość jest zamienna na własne przeciwieństwo, jest to kult słowa, gestu, stroju, symbolu, jest to gramatyka mowy, która jeszcze nie ma sensu (s. 189).

Tadeusz nie wyjedzie z kraju. Zostanie przy chorej żonie. Dokona wyboru. Znajdzie swój znak. Tym razem znak nasycony sensem, jaki zawsze daje współistnienie z drugą osobą.

---

[1]) Andrzej Kijowski „Pseudonimy" Czytelnik 1964.

[2]) A. Kijowski „Ćwierćwiecze literatury" Twórczość 1964 nr 7.

GERHART HAUPTMANN W POLSCE

Gerhart Hauptmann był znakomitym dramatopisarzem, natomiast jego wiersze i powieści nie stały się nigdy wydarzeniami artystycznymi na większą miarę. W Polsce grano jego „Tkaczy", „Futro bobrowe", „Hanusię" i „Dzwon zatopiony", nie można jednak powiedzieć, aby należał on, jako autor dramatyczny, do ulubieńców naszej publiczności. Historia polskiego teatru nie zna pojęcia „epoka Hauptmanna", tak jak zna „epokę Ibsena", który w swoim czasie zadomowił się na naszych scenach jak we własnym kraju.

Hauptmann, ceniony ponad miarę swoich zasług w Niemczech, nie fascynuje dziś czytelników innych narodowości, co nie przeszkadza nam stwierdzić, że co najmniej kilka spośród jego dramatów stało się trwałym dorobkiem niemieckiej i europejskiej literatury.

Przed dwoma laty Wydawnictwo „Śląsk" przystąpiło do publikowania wyboru jego dzieł w języku polskim. Inicjatywa chwalebna i godna uznania. Zaczęto od „Księgi namiętności", autobiograficznej spowiedzi pisarza o kryzysie swojego pierwszego małżeństwa z Marią Thienemann. „Księga namiętności", pisana w formie dziennika, choć kryptonimuje bohaterów wydarzeń, nie pozostawia żadnych wątpliwości co do osobistego jej charakteru, będąc wyznaniem o dużym ładunku szczerości. Książka, o ile wiem, nie została zauważona przez naszą krytykę. Zdaje się to potwierdzać słabe zainteresowanie Hauptmannem w Polsce, zgłoszone na początku niniejszych rozważań. Przy czytaniu autobiografii i wspomnień wielu autorów nie można oprzeć się melancholijnemu przekonaniu, że są to jedyne ich utwory, które dają się jeszcze czytać. Przeminęły utwory powieściowe, w które autorzy ładowali największe swoje ambicje, a ostały się zapiski i spowiedzi, pisane jako pendant do głównego dzieła. Jak w kontekście tego porównania należy ocenić wydaną obecnie przez „Śląsk", jako drugą z kolei po „Księdze namiętności", powieść Hauptmanna „Szaleniec boży Emanuel Quint"? Zacznijmy od tego, że powieść „Szaleniec boży", opublikowaną po raz pierwszy w 1910 roku, zaliczyć wypadnie do drugiego okresu twórczości Hauptmanna, kiedy to autor, po heroicznym okresie socjalnego buntu, uwieńczonego dramatem o powstaniu dolnośląskich tkaczy, popada w stan zgody z istniejącym światem, szukając w nim fenomenów życia, nie zaś — okazji do krytyki społecznego porządku. Wilhelm Szewczyk, pod którego redakcją pisma Hauptmanna się ukazują, pisze w przedmowie do „Szaleńca", że jego autor „rozprawia się tutaj z dwoma rodzajami utopii, ogarniającej ówczesne kręgi społeczeństwa niemieckiego". Jedna to utopia sekciarsko-mistyczna, demonstrowana na przykładzie Quinta, druga: socjalistyczno - mistyczna ma swoich stronników w braciach Hassenpflug. Tak, to prawda, chociaż wątek braci Hassenpflug ma charakter epizodyczny i jest zaledwie naszkicowany, podczas gdy cała pasja pisarza koncentruje się na głównym bohaterze — pomyleńcu bożym Quincie. Interesuje mnie pytanie, gdzie znajduje się sam pisarz i jakie zajmuje on stanowisko w stosunku do głównego motywu swej powieści. Wątek podjęty przez Hauptmanna nie jest czymś oryginalnym. W owych latach (schyłek dziewiętnastego i początek dwudziestego stulecia) motyw nawiedzonego podejmowali pisarze różnych literatur, niezależnie od siebie. Na gruncie polskim wystarczy wspomnieć Adolfa Dygasińskiego, który w „Beldonku" (ulubionej powieści Żeromskiego) zajął się podobnymi sprawami. Był to czas zainteresowania ludem jako tematem literackim i ogólnie rzecz ujmując, mniej tu chodziło o historyczne i społeczne ujęcie doli chłopa, ile raczej o poszukiwanie egzotyki życia wiejskiego.

Stanowisko, jakie zajmuje Hauptmann w „Szaleńcu bożym", nie ma nic, albo, powiedzmy lepiej, ma niewiele wspólnego z postawą walczącą. Można tu jedynie mówić o postawie współczującej, o postawie wyrozumienia dla skrzywdzonych i poniżonych. Nie róbmy zresztą z tego generalnego zarzutu Hauptmannowi. Powieść „Szaleniec boży Emanuel Quint" jest, formalnie rzecz biorąc, utworem realistycznym, dobrze napisanym, o zajmującej fabule i trafnym rysunku psychologicznym bohatera. Czytelnika polskiego zainteresuje ona z innego jeszcze powodu. Podobnie jak wspomniana „Księga namiętności", także i ta książka osadzona jest w realiach śląskich, a mówiąc ściśle — w kotlinie jeleniogórskiej. Odnajdujemy w niej znany nam dobrze pejzaż karkonoski i rozrzucone na stokach gór i w dolinach osiedla i wioski. Gerhart Hauptmann, który większość swego życia spędził najpierw w Szklarskiej Porębie a później w Jagniątkowie, związał się z Dolnym Śląskiem w sposób dla pisarza najtrwalszy, bo udokumentowany w jego dziełach. Zarówno w wielu jego dramatach jak i utworach powieściowych tło dla opisanych wydarzeń stanowi Ziemia Dolnośląska. Snuje się na tych kartach jakiś cień słowiański, cień polskości. Występujący w „Szaleńcu bożym" Józef Czech czy Teresa Kaczmarek czymże są, jeśli nie owymi smętkami karkonoskimi, zabłąkanymi na ziemi dwu, a nawet trzech kultur: niemieckiej, polskiej i czeskiej. Prześledzenie pod tym kątem widzenia twórczości Gerharta Hauptmanna może przynieść ciekawe rezultaty.

„Księgę namiętności" przełożyła na język polski Irena T. Sławińska. Poza nielicznymi potknięciami czy chropowatościami, jest to przekład dobry, trafnie oddający pamiętnikarski charakter prozy Hauptmanna. W przypadku „Szaleńca bożego" posłużono się przekładem starym Merwina, uzupełniając go jedynie i poprawiając. Szkoda, że przy sposobności redaktor tomu nie podał kilka słów o tłumaczu. Bertold Merwin, profesor gimnazjalny we Lwowie, był dziennikarzem i krytykiem, autorem wydanego osobno tomu pt. „Profile i perspektywy szkiców". Jako tłumacz podpisywał się jedynie: Merwin. Tak niewiele zostaje po tłumaczach, że przypomnienie go byłoby bardzo cenne.

Po „Księdze namiętności" i „Szaleńcu bożym Emanuelu Quincie" ukazał się trzeci tom pism Gerharta Hauptmanna — „Kacerz z Soany" w przekładzie Leopolda Staffa. Ale o tym ostatnim utworze przy innej okazji.

Jan Koprowski

POLKA z książkami

POWIEŚĆ ZAANGAŻOWANA

„Puszcza" — druga po „Gubernatorze" przełożona na język polski powieść znakomitego prozaika, poety i wydawcy Roberta Penn Warrena — znana jest naszym czytelnikom z obszernego fragmentu, drukowanego w ubiegłym roku w „Odgłosach". Osnuta na tle wojny secesyjnej, tego często spotykanego we współczesnej amerykańskiej literaturze sztafażu, powieść wykorzystuje historyczne tło tylko jako swego rodzaju pretekst formalny, pozwalający w dramatycznym skrócie ukazać los marzącego o wolności i sprawiedliwości idealisty.

Jest więc „Puszcza" powieścią mówiącą o ideałach, powieścią polityczną i zaangażowaną; ale Penn Warren, wielki poeta i jeden z mistrzów współczesnej prozy dobrze wie czym literaturze grozi dosłowność. Nie natkniemy się na nią na stronicach tej pięknej i wzruszającej opowieści: poetycka metafora, ironiczna wieloznaczność, bogactwo podtekstów, oto środki wyrazu pisarza, bliskiego w swych poszukiwaniach twórczych Faulknerowi i od debiutu w r. 1939 — książki o legendarnym buntowniku Johnie Brown — aż po dziś dzień wiernego jednemu tematowi: poszukiwania prawdy i jej odbicia w sumieniach ludzi naszego czasu.

„Puszczy" wydanej w 20.000 egz. oczywiście nie znajdziecie już w księgarniach. Ale zapewniam, że po to, by tę książkę wybitną poznać, warto szukać jej w bibliotekach publicznych oraz w księgozbiorach krewnych i znajomych.

SM

Robert Penn Warren: „Puszcza" PIW — Klub Interesującej Książki, str. 239, cena zł 17, w pren. zł 12.

„KOPIEC WSPOMNIEŃ"

Oto mamy jeszcze jeden krakowski kopiec, jest to „Kopiec wspomnień". Kraków — jedno z najstarszych miast polskich, przechowuje z pietyzmem nie tylko zabytki kultury materialnej, ale i tradycje kulturowe, jakimi nie może się poszczycić żadne ze starych miast Polski.

Na obszerny tom złożyły się wspomnienia wielu ludzi związanych z Krakowem. Piszą oni o różnych sprawach i ludziach. Znajdziemy tu wspomnienia o Wyspiańskim, Przybyszewskim, Malczewskim, Asnyku, Boy'u, wspomnienia o znanych rodach arystokratycznych i socjalistach, czy komunistach, znajdziemy wspomnienia o żydowskiej dzielnicy miasta z całym bogactwem obyczajów tej grupy ludzi, jaki i o pierwszych hutcerzach polskich, którzy działali na terenie miasta. Dla historyka kultury, etnografa, czy socjologa kopalnia materiałów, ale książka może zadowolić także zwykłego czytelnika, który interesuje się przeszłością, bo opowieści te przetykane są często anegdotą, czy dowcipem.

Kraków z końca XIX i początków dwudziestego wieku, jaki ukazują autorzy „Kopca" jest uroczy, trudno doszukać się w tym obrazie tych cech miasta i jego mieszkańców, które nam się nie podobają. Nie dziwi to specjalnie, jeśli wziąć pod uwagę, że autorami są przecież starsi ludzie, którzy z łezką w oku powiadają, nie zobaczysz już nigdzie Krakowa mojej młodości — to były czasy. I tu nasuwa się uwaga — szkoda, że nie zamieszczono w zbiorze jakiegoś ciętego paszkwilu na filistra krakowskiego, a przecież w literaturze naszej — okresu Młodej Polski, nietrudno o taki paszkwil.

I jeszcze jedno, kilku wspominkarzy skarży się, czemu wybrzydzacie się na stary Kraków, na filistra, na „centusiów", przecież Kraków to także miasto Uniwersytetu Jagiellońskiego, miasto ruchów rewolucyjnych i tak dalej. Można by odpowiedzieć — wiemy, doceniamy ale chcielibyśmy prawdziwego obrazu Krakowa, choć ten, który narysowali nam autorzy „Kopca" jest tak uroczy ale tylko uroczy.

JHW

Władysław Bodnicki, Stanisław Broniewski, Bolesław Drobner, Józef Andrzej Grzesiak, Roman Kiełkowski, Władysław Kozub, Marian Krzyżanowski, Józef Lustgarten, Zofia Muczkowska, Andrzej Pronaszko, Manuel Rympel, Aleksander Slapa, Alina Świderska, Marian Turski, Antoni Wasilewski: „Kopiec wspomnień", Kraków 1963, Wyd. Literackie, str. 618, cena 75 zł.

„WSPOMNIENIA O WARSZAWSKIEJ CYGANERII"

Niestrudzony zbieracz i historyk literatury, Juliusz Wiktor Gomulicki, podarował czytelnikom nową książkę. „Wspomnienia o cyganerii warszawskiej" zawierają dwa obszerne szkice: Wacława Szymanowskiego i Aleksandra Niewiarowskiego, poprzedzone erudycyjnym wstępem J. W. Gomulickiego o Warszawie lat czterdziestych ubiegłego wieku. Wacław Szymanowski pisze „O literatach warszawskich", zaś Aleksander Niewiarowski „Szkice o cyganerii warszawskiej". Obydwaj autorzy odgrywali w czasach, o których mówią, znaczną rolę w życiu dziennikarskim i literackim chociaż dziś są całkowicie zapomniani. Aleksander Niewiarowski uchodzi nawet za pierwszego na gruncie polskim felietonistę. Napisał mianowicie felieton teatralny z przedstawienia, na którym w ogóle nie był obecny, Wacław Szymanowski, pisarz i redaktor, rówieśnik Norwida, Lenartowicza, Zamorskiego i Chojeckiego, w szkicu barwnym, niepozbawionym anegdoty, snuje wspomnienia o przyjaciołach i wrogach. Bogiem a prawdą pod pewnymi względami pewne rzeczy w świecie literackim nie uległy zmianie, choć zmieniło się tak wiele. Zwłaszcza te, które odnoszą się środowiska literatów warszawskich. Wacław Szymanowski ma jeszcze wątpliwości, czy coś takiego jak pojęcie literata warszawskiego istnieje. Dziś nikt już nie ma wątpliwości. Jeśli są jakieś wątpliwości, to raczej czy istnieje literatura pozawarszawska. Warszawska natomiast jest czymś niezbitym, niewątpliwym, jedynym i niepowtarzalnym. Książka cenna i ciekawa.

JK

Wspomnienia o cyganerii warszawskiej — Wacława Szymanowskiego i Aleksandra Niewiarowskiego. Zebrał i opracował Juliusz Wiktor Gomulicki. Warszawa, Czytelnik 1964.

FILM

„RĘCE NAD MIASTEM"

Film o tematyce bezpośrednio społecznej — dramat społeczny — ma z powodu swego gatunku trudniejszy z reguły start w kinie, niż na przykład komedia, dramat miłosny, western. Tematyka społeczna, nawet krytyczna, nigdy lub tylko wyjątkowo ma w sobie jakieś walory rozrywkowe, atrakcyjne dla publiczności w sensie łatwego i miłego spędzenia czasu; dlatego zapewne wielu twórców, zajmujących się taką tematyką, poszukuje dojścia do widzów poprzez znane i lubiane konwencje — powstają więc nasycone społecznymi treściami filmy komediowe, sensacyjne, melodramatyczne, których ważkie, współczesne konflikty zostają niejako „opakowane" w atrakcyjną, chwytliwą formułę. Tak np. w stronę filmu sensacyjnego sterował „Wilczy bilet" reżysera Bohdziewicza, w stronę komedii „Dwa żebra Adama" reżysera Morgensztera, w stronę melodramatu zaś „Wyrok" reżysera Passendorfera. Każdy z tych filmów miał swoje bezsporne (różne zresztą) zalety, żaden z nich nie okazał się w pełni udany.

Dlatego, jak myślę, ważny jest szczególnie każdy udany film o tematyce społecznej w postaci czystej — jako przykład, jako temat do zamyślenia się nie tylko nad samym filmem, lecz nad ogólniejszymi źródłami jego sukcesu.

„Ręce nad miastem", trzecia samodzielna praca włoskiego reżysera Francesco Rosiego, jest bez wątpienia filmem bardzo dobrym. Francuski krytyk Jean Louis Bory pisał na łamach „Arts": „Ten film jest dla nas objawieniem — ktoś odważył się pokazać na ekranie zebranie administracyjnej komisji śledczej, pogrążonej w proceduralnej dyskusji, wybory do rady miejskiej, walkę zakulisowych wpływów politycznych (to zawsze wydaje się tak nudne) jako coś o pasjonującej sile przyciągania, dorównującej „thrillerom..."

Opowieść o budowlanych machlojkach i nadużyciach w Neapolu jest dowodem rzadkiej konsekwencji reżysera — od początku swej twórczej pracy poświęca on uwagę tylko tematom szczególnie społecznie ważkim i to ukazywanym bez ozdobników atrakcyjnych konwencji, pierwszy jego film, „Wyzwanie" (zrealizowany w 1958 roku), poświęcony wewnętrznym porachunkom gangów gospodarczych handlarzy warzyw w Neapolu, oglądaliśmy już na naszych ekranach; drugi jego film, „Salvatore Giuliano" (zrealizowany w roku 1961), mówiący o sprawach sycylijskiej mafii, wkrótce wejdzie na nasze ekrany.

Rosi sam tak sformułował swoje artystyczne „credo" (w wywiadzie dla francuskiego „L'Express"): „Sztuka filmowa dorosła już do pokazania rzeczywistego funkcjonowania systemu — musi jednak wyzwolić się z rutyny analizy psychologicznej postaci, jeśli bowiem zacznie opisywać psychologię postaci,

LECH PIJANOWSKI

stanie się reprodukcją — mierną lub znakomitą — lecz nie aktywnym uczestnikiem zdarzeń..." Jest to pogląd bardzo krańcowy, budzący swoją radykalnością wręcz sprzeciw (przynajmniej u mnie — sprzeciw wewnętrzny); szczęśliwie dla swej twórczości sam Rosi nie realizuje w pełni sformułowanych tak ostro postulatów... Argumentów o tym świadczących dostarczają w bród choćby „Ręce nad miastem".

Istotnie jest to opowieść epicka w stylu, nie opierająca swej dramaturgii na niuansach psychologii bohaterów, lecz na zmieniającej się grze tendencji i sił społecznych, wręcz politycznych; jest to opowieść fascynująca jednakże nie z tej jednej tylko, lecz z dwu przyczyn.

Tą drugą jest umiejętność ukazania tendencji społecznych, sytuacji konfliktowych, spięć dramatycznych poprzez bohaterów, nie tylko na płaszczyźnie obiektywnej relacji, lecz także na płaszczyźnie prawdy psychologicznej poszczególnych postaci. Jest tych bohaterów wielu, bardzo wielu — aferzyści budowlani, radni miejscy, dziennikarze, różnego typu i pokroju przedsiębiorcy, wreszcie niejako „obiekt" działania ich wszystkich: lokatorzy. Niektórym z bohaterów Rosi poświęca więcej czasu na ekranie, innym — mniej, wielu z nich to tylko migawkowe postacie w tle, a przecież większość tych ludzi nie pełni w filmie (nie pełni bowiem i w życiu) tylko funkcji swoistych pionów na szachownicy struktury filmowej opowieści: są to zarysowane nieraz w dużym skrócie, paroma „kreskami" reżyserskimi i aktorskimi pełne, przekonujące swoją prawdą postaci. Niektóre z nich (budowniczego Nottoli, radnego-komunisty, który w dramatycznej sytuacji nie jest w stanie nic niczego zdziałać, kilka innych) pamięta się długo — jest to dla mnie dostatecznym dowodem, że trafność społecznej diagnozy filmu Rosiego i dramatyzm jego akcji zostały skutecznie wsparte niejako „tradycyjnym", nieodzownym w autentycznej sztuce elementem. prawdą nie tylko zdarzeń, lecz i ludzi.

W dziejach filmu światowego, czy też (znacznie bliżej) w ostatnich latach rozwoju naszej sztuki filmowej da się odnaleźć niemało przykładów filmów społecznie ważkich, nieraz o tendencjach epickich, które nie odnosiły sukcesu artystycznego, gdyż przeciwko prawdzie ukazywanych w nich faktów, zdarzeń, tendencji występowała ostro fałszywość postaci: schematyczność charakterów, drętwota dialogu, płaskość sylwetek psychologicznych.

Rosi w „Rękach nad miastem" nie zwalcza tych schematów ani też nie buduje schematów innych, uprzednim przeciwstawnych — po prostu działa w zgodzie ze znajomością tej sfery życia, o której mówi jego film; udowadnia, że życie Neapolu i jego mieszkańców, ich troski i kłopoty zna świetnie. Rzecz inna, że dochodzi w filmie do sytuacji zaskakujących: jeden z głównych aferzystów, budowniczy Nottola, wydał mi się na przykład jako człowiek postacią wręcz sympatyczną — i tym ostrzej zarysowały się główne sprawy filmu: żerowanie na głodzie mieszkaniowym, bezkompromisowa bezwzględność oszustów, bezradność oszukiwanych mieszkańców Neapolu.

Akcja filmu (której streszczać nie zamierzam, dostatecznie wiele jej elementów, jak myślę, już przytoczyłem) rozwija się, zachowując wszystkie proporcje, na zasadzie realizacji konieczności: wszyscy bohaterowie w jakimś momencie filmu muszą zdeklarować się, po czyjej są stronie, jakie tendencje i siły praktycznie reprezentują. Wtedy są i momenty zaskoczenia, spadania masek, ujawniania rzeczywistej treści demagogicznych wypowiedzi — zetknięci z brutalnością życia, ludzie muszą nie tylko być, lecz i pokazać się takimi, jakimi są naprawdę i konkretnie, poprzez działanie.

Dlatego „Ręce nad miastem", film przecież skomponowany i w sensie artystycznym „wymyślony" ma dla mnie coś z walorów ostrego, dramatycznego filmu dokumentalnego: jego prawda jest nie tylko prawdą sztuki, lecz także prawdą interwencji w życie.

Nader rzadko bywa okazja używania tak górnych i pozytywnych tonów w odniesieniu do filmu tego właśnie gatunku; Rosi w moim przekonaniu zasługuje na to nie ze względu na szlachetność i trudność swoich twórczych intencji, lecz po prostu dlatego, że ambitne zamiary udało mu się zrealizować. Powstał film, który można i może nawet trzeba chwalić tonami nieco górnymi, lecz który oglądałem, bynajmniej nie w nastroju patetycznym, lecz z żywym zainteresowaniem i satysfakcją.

Myślę, że to zainteresowanie i satysfakcja będą udziałem licznych widzów.

Kat Radogoszcza — Pelzhausen, przed polskim sądem

KONRAD FREJDLICH

Krzyk z ognia

W tych dniach wszedł na ekrany kin film krótkometrażowy, który obejrzeć powinni wszyscy łodzianie. Choć wycelowany na jubileusz dwudziestolecia wyzwolenia naszego miasta, film ten nie jest jeszcze jedną pozycją rocznicową, której znaczenie zaciera się w miarę jak atakować nas będą następne rocznice i jubileusze. Nie tylko dlatego, że reżyser i scenarzysta w jednej osobie, Andrzej Szczygieł, przypomniał nam alternatywę, którą my, ocaleni z rzezi, musimy mieć w swej świadomości nieustannie, od której nigdy właściwie nie będzie ucieczki. Nie dlatego także, że film uprzytamnia nam kilka okrutnych faktów z wyrazistością szczegółów, na które zdobyć się może tylko kamera rejestrująca wszystko, co znajdzie się w jej zasięgu. Zresztą fotograficzna pamięć taśmy filmowej została przez twórcę tak ukierunkowana, aby nie odbierając prawdzie historycznej okrucieństwa pozbawić obraz przeeksponowanej makabryczności.

Szczygieł świadomie rezygnuje z pełnej czy raczej pełniejszej dokumentacji warunków życia radogoskich więźniów, chociaż sięgnął po materiały Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i do archiwów Polskiej Kroniki Filmowej. Chce nam bowiem pokazać dni zagłady takimi, jakimi je może zachowała nasza pamięć po latach dwudziestu. Operuje skrótem, relacją protokolarną, ale wyrywkową, jakby mu chodziło nie o uprzytomnienie dość znanych w końcu faktów, tylko o argumentację do tych faktów. Narracja prowadzona jest zawsze w dwóch płaszczyznach: dokumentu historycznego, relacji z Radogoszcza, gdzie tlą się jeszcze szczątki 2000 ludzi, którzy ponieśli śmierć zamiast nas, cieszących się dziś zdrowiem, zakopanych w małe i wielkie sprawy, umiejących śmiać się i spać w nocy, ale jest to przede wszystkim protokół naszego myślenia, naszej pamięci o sprawach tamtych umarłych. Pamięci spiętej klamrami lat 1945—1965.

Polska od czasów najokrutniejszej z wojen jest krajem miejsc uświęconych, przypominających o sobie jakimś ułamkiem zwietrzałej kości, odpryskiem muru po kuli karabinowej, krzyżem przydrożnym. Nie ma właściwie metra ziemi wolnego od największej ze zbrodni jaką zna do tej pory ludzkość, a równocześnie od największej z ofiar i poświęcenia. Szlak tej „okrutnej turystyki" (określenie to pada w komentarzu) prowadzi przez Majdanek i Oświęcim, ale też i przez Radogoszcz, gdzie na minutę przed wyzwoleniem dokonał się akt zwierzęcej nienawiści ludobójców.

Tragedia ostatniej wojny targnęła skalą wartości, która była dumą wiekowych tradycji rodzaju ludzkiego. Ciężar zbrodni ludobójców jakby nas sparaliżował: trzeba było zwątpić w precyzyjność określeń naszego języka, niezdolnego do pełnego oddania okrucieństw tamtej wojny; nasze odruchy bólu, płaczu i nienawiści okazywały się nie dość adekwatne do faktów, które je wywołały. I może ta niedoskonałość uprzytomniła nam, jak bardzo ludzkie są nasze reakcje, jak bardzo są godne przez to właśnie, że nie potrafimy milion razy więcej rozpaczać i nienawidzieć na pogrzebie milionów istnień. Skala wartości wypracowana przez ludzkość w długim procesie dziejowym okazała się na nowo przydatna.

Film ukazuje nam również reakcje morderców, których dosięgnęła ręka sprawiedliwości, Hansa Bibowa, odpowiedzialnego za zagładę łódzkiego getta oraz Pelzhausena, komendanta Radogoszcza. Ujęci w niczym nie przypominają butnych übermenschów. Drżą ze strachu o własną skórę. Wykazują o wiele mniej godności niż tysiące ofiar zgładzonych z ich ręki. Zatrzymanie kadru obnaża strach Bibowa, reżyser pozwala nam przyglądać mu się dłuższą chwilę. Może to nie humanitarne, ale czuje się w tym momencie jakąś satysfakcję.

Oczywiście ludobójcy nie potrafili przeciwstawić naszej skali wartości jakiejś nowej skali wartości. Po prostu tylko, wszystkie negatywy ludzkości uczynili swoją cnotą Ludobójstwo było znane i w dawnych wiekach, choć nawet barbarzyńcy nie uczynili z niego swego celu; był to, do ostatniej wojny, tylko środek wiodący do celu.

Tego rodzaju myśli atakują widza podczas projekcji filmu Szczygła. Chociaż, jak wspomniałem, Szczygieł unika świadomie przesadnych akcentów martyrologii. Nie chce przerażać, bo strach paraliżuje myślenie. Zresztą akcja (jeśli w filmie niefabularnym można mówić o akcji) rozgrywa się współcześnie w murach radogoskiego mauzoleum. Delegacja byłych więźniów składa wieńce pod obeliskiem z napisem „Imiona i ciała zabrał nam ogień". Trzeba dodać: delegacja autentycznych więźniów, a nie statystów. To podnosi walory filmu, ci ludzie nie grają przed kamerą, ich reakcje są reakcjami ofiar, które mają świadomość jakiego okrutnego, udało im się uniknąć losu. Na tle wypalonych murów przesuwają się ludzie okaleczeni, naznaczeni bliznami, jakby wpisani w te mury, które przez szczęśliwy zbieg okoliczności nie stały się ich grobem. Stały się za to grobem 30 tys. innych więźniów.

Rejestracja wzruszeń byłych więźniów, wymowne kadry o niekłamanym nastroju są dużym sukcesem operatora Kazimierza Muchy, który dobrze zrozumiał zamiary reżysera. A niełatwo było podjąć temat Radogoszcza, czego najlepszym dowodem fakt, że przez dwadzieścia lat żadna z łódzkich wytwórni nie podjęła produkcji tak potrzebnego filmu. Reżyser Szczygieł nie ulękł się tych niebezpieczeństw, które odstraszały innych. Przy mnogości filmów martyrologicznych, często wybitnych, trudno jest uniknąć pewnych powtórzeń, trudno jest wnieść nową wiedzę w widzenie tamtych, okrutnych, przerażających wydarzeń. Nie ma wątpliwości, że film Szczygła wiedzę taką wnosi. Poprzez konfrontację reakcji ofiar na moment przed zagładą, konfrontację reakcji więźniów, którym udało się uniknąć śmierci oraz reakcji ludobójców postawionych przed sądem.

Jest jeszcze w tym filmie moment szczególny, zasługujący na specjalne podkreślenie. Krzyk ofiar oddanych na pastwę ognia, który będzie słychać tak długo, aż ostatni ukrywający się jeszcze ludobójca nie poniesie zasłużonej kary. Krzyk, który wydajemy my sami, gdyż muzyka Władysława Kabalewskiego uzupełnia obraz oszczędnie, o wiele mniej naturalistycznymi środkami wyrazu. Podobnie oszczędnie jak komentarz Stanisława Grochowiaka dobrze trafiający w intencje obrazu. Można więc mówić o filmie „Radegast-Radogoszcz 1945—1965", jako o pełnym sukcesie grupy realizatorów Wytwórni Filmów Oświatowych.

Dlatego też ośmielam się zwrócić na film Szczygła uwagę Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, które powinno wziąć na siebie obowiązek jak najszerszego spopularyzowania tej pozycji w naszym mieście.

„Radegast — Radogoszcz 1945 — 1965", film krótkometrażowy, czarno-biały, produkcja WFO w Łodzi.

ALICJA LISIECKA

Mój „Złoty Lis" 1964

Minął rok i oto znów nadchodzi okres podsumowań. Toeplitz przyznaje w „Świecie" małe Oscary, Czajka wyciąga z szuflady symboliczny srebrny widelec. Sypią się „Złote Kłosy", czerwone róże, nagrody prywatne i oficjalne. Gazety pęcznieją od artykułów typujących najlepsze pozycje minionego sezonu. Krytycy licytują się w rozważaniach na temat „chudości" bądź obfitości zeszłorocznego plonu wydawniczego.

Moją prywatną, honorową nagrodę nazwałam umownie „Złotym Lisem". Nie ma co głowić się, czy od symboliki opowiadania Jerzego Andrzejewskiego (złoty lis — marzenie, baśń, to co piękne, to co poetyczne) czy od symboliki nazwiska jurorki.

„Złote Lisy" w latach ubiegłych otrzymały książki nie najgorsze: „Sennik współczesny" Konwickiego, „Idzie skacząc po górach" Andrzejewskiego, „Boski Juliusz" Bocheńskiego, „Niepokoje amerykańskie" Strzeleckiego, reportaże Lovella i Barbary Seidler, dramat Mrożka, felietony Putramenta, wiersze Szymborskiej...

Ale hierarchie literackie są kapryśne i co roku zmieniają się. Moda na książkę lub pisarza trwa ledwie sezon. Potem niecierpliwa publiczność, łaknący nowych lektur czytelnicy, żądają czegoś innego, lepszego, czegoś więcej.

Co zaproponować im do wspólnej analizy i dyskusji, do powtórnego przeczytania u progu nowego roku? Romantyczny „Toast" Józefa Hena — książkę o „samotnym kowboju" ucieleśniającym w Polsce 1945 roku tęsknoty do ideału szlachetnego szeryfa? „Agnieszkę, córkę Kolumba" Macha, z ciekawą kreacją demonicznego kombatanta — intelektualisty Bałcza, z historią dziwnej, niedobrej miłości do młodej nauczycielki? Camusowską etiudę stylistyczną Kazimierza Brandysa „Sposób bycia". Jej drugą, ciekawszą część — powieść sceniczną pt. „Bardzo starzy oboje"?

Rok 1964 nie był chudy. Był średni. Był rokiem, w którym napisano i wydano dużo niezłych książek. W tym jednak żadnej znakomitej. Czyż można przejść obojętnie wobec pięknych i ambitnych w pomyśle, ale niestety, zbyt zafascynowanych poetyką „Bram raju" — opowiadań Jacka Bocheńskiego pt. „Tabu" (druk w „Twórczości" 1964); albo czy można pominąć milczeniem elegancki esej historyczny o Sułkowskim pt. „Oficer największych nadziei" M. Brandysa? Jest jeszcze znakomite „Tango" Mrożka (publikowane w „Dialogu" 1964). Jest jeszcze ciekawa powieść Leona Gomolickiego „Kiermasz", jest ambitna książka „W drodze do Koryntu" A. Kuśniewicza, są bardzo udane „Pseudonimy" Kijowskiego. W dziale eseju przeczytaliśmy wszyscy monografię R. Przybylskiego o Dostojewskim. Także monografię krytyczną Kijowskiego o Dąbrowskiej. Brak natomiast w tym roku wybitnych tomów wierszy, takich jak w latach ubiegłych „Sól" Szymborskiej czy „Studium przedmiotu" Herberta, „Obroty rzeczy" Białoszewskiego, „Rozbieranie do snu" Grochowiaka. Trwa po prostu coraz groźniejsza inflacja poezji. Mnożą się nazwiska, nie mnożą autentyczni twórcy. Jasną gwiazdą płoną jedynie przed jubileuszowym rokiem autora dwa tomy zebranych utworów Antoniego Słonimskiego — piękne, szlachetne w obywatelskiej tonacji wiersze. Niezależnie od tego rodzynka rok 1964 był rokiem eseju i prozy. Nie po raz pierwszy esej wysunął się na pierwszy plan w produkcji wydawniczej, znalazł w czołówce wybitnych utworów literatury współczesnej.

„Złoty Lis" w tym gatunku należy się niewątpliwie Leszkowi Kołakowskiemu za jego przewrotne, wolteriańskie, alegoryczne eseje-bajeczki pt. „Klucz niebieski". Książka, o dziwo, nigdzie nie recenzowana. Cóż za paradoks — można z literaturą tej klasy kłócić się lub polemizować, można ją chwalić lub ganić. Ale nie sposób pomijać milczeniem.

W dziale prozy współczesnej — politycznej, zaangażowanej, realistycznej — konkurencję „Złotego Lisa" zdobył Andrzej Braun — autor grubej 600-stronicowej powieści o Chinach pt. „Zdobycie nieba". Dużo słyszałam (i formułowałam sama) uwag krytycznych pod adresem tej książki, nietypowej dla dotychczasowego dorobku naszej współczesnej literatury, książki egzotycznej w tematcie, stylistycznie z ducha trochę Malraux a trochę antypowieści. „Zdobycie nieba" jest jednak niewątpliwym osiągnięciem autora, imponuje rozległością horyzontów i talentem epickim. Jakże blado wygląda przy nim reklamowany tak krzykliwie „Pruski mur", rażący publicystycznymi wrętami i postekspresjonistyczną manierą spod znaku Kadena. Jakże płaskie wydają się „polityczne" problemy małych rozgrywek między małymi ludźmi, których W. Zalewski kreuje na reprezentantów paru pokoleń Polaków.

* * *

„Złoty Lis" nie obejmuje filmu, teatru, muzyki. Dodajmy jednak, że i w tych zakresach było średnio. Ani bardzo dobrze, jak chcieliby niepoprawni entuzjaści, — ani bardzo źle, jak narzekają wieczni malkontenci. Cóż robić, nie co roku zdarza się nowy utwór Pendereckiego, albo nowa „Matka Joanna od Aniołów" Kawalerowicza, albo nowy „Karol" Mrożka, albo nowa znakomita inscenizacja Brechta.

Raz na parę lat także pojawia się, jak właśnie w 1964 roku nowa znakomita gwiazda piosenki polskiej: Ewa Demarczyk. Z prawdziwą satysfakcją przyznaję jej honorowego „Złotego Lisa" (dyplom wręczono już w krakowskiej piwnicy „Pod Baranami" — za znakomity smak w doborze repertuaru (piosenki literackie), za wspaniałą, jedyną w swoim rodzaju popularyzację Tuwima i Leśmiana, za odśpiewaną ze ściśniętym gardłem „Rebekę" (pierwsza, tak oryginalna, interpretacja tej piosenki od czasów Ordonki), za niepowtarzalność stylu i za wielką indywidualność.

Warte to najlepszych utworów literatury w roku 1964. Warte „Złotego Lisa".

Tymon Niesiołowski — *Przed cyrkiem*

THOMAS STEARNS ELIOT

1888 - 1965

* * *

Wyrazić uczucie w formie artystycznej można tylko znajdując korelat obiektywny, a więc zestaw przedmiotów, jakąś sytuację, jakiś ciąg wydarzeń, które powinny stać się formułą dla tego właśnie konkretnego uczuciowego stanu, skutkiem czego przywołanie faktów o charakterze zewnętrznym, które wyczerpać się muszą w doznaniu zmysłowym, przywoła również odpowiedni stan uczuciowy.

(HAMLET)

* * *

W naszej epoce, kiedy ludzie skłonni są bardziej niż kiedykolwiek, mylić mądrość z wiedzą, a wiedzę z informacją i usiłują rozwiązać problemy życiowe w terminach techniki, rodzi się nowa odmiana prowincjonalizmu, która zapewne prosi się o inną nazwę. Jest to prowincjonalizm nie przestrzeni, ale czasu; dla niego historia to jedynie kronika ludzkich wynalazków, które swoje odsłużyły i zostały wyrzucone na śmietnik; dla niego świat jest wyłącznie własnością żyjących, w której umarli nie mają żadnego udziału. Tego rodzaju prowincjonalizm niesie ze sobą tę groźbę, że my wszyscy, wszystkie ludy planety, możemy stać się prowincjonalnymi, a ci, którym się to nie podoba, mogą tylko zostać pustelnikami.

(KTO TO JEST KLASYK?)

* * *

Nie jest ważne, czy poeta ma duży krąg czytelników za życia. Ważne jest, aby zawsze miał choćby szczupłe grono słuchaczy w każdym pokoleniu. A jednak z tego, co powiedziałem poprzednio, wynikałoby, że poeta znajduje oddźwięk głównie w swojej epoce albo, że z poetów nieżyjących nie mamy pożytku, jeśli nie mamy również poetów żyjących. Większy nacisk położyłbym zwłaszcza na sprawie pierwszej i powiedziałbym, że jeśli poeta zdobywa szeroką poczytność bardzo prędko, to może skądinąd budzić wątpliwości, bo obawiamy się, iż w rzeczywistości nie dokonał on niczego nowego, że dał czytelnikom to, do czego przywykli, a więc to, co już otrzymali od poetów generacji poprzedniej. Natomiast ważne jest, żeby poeta zawsze miał odpowiednie małe kółko słuchaczy w epoce współczesnej.

(SPOŁECZNA FUNKCJA POEZJI

* * *

Wątpię, czy można nazwać jakiegoś poetę wielkim Europejczykiem, jeżeli nie jest on zarazem wielkim poetą, lecz trzeba zgodzić się, tak sądzę, że istnieją wielcy poeci, którzy nie są wielkimi Europejczykami.

(GOETHE-MĘDRZEC)

(Tłumaczenia fragmentów z tomu „Szkice literackie". Warszawa. 1963).

THOMAS STEARNS ELIOT

PODRÓŻ TRZECH KRÓLI

Mroźny był czas wędrówki.
Bo też to i najgorsza roku pora
Na podróż i to taką długą podróż:
Drogi zawiane i pogody ostre,
Głęboka zima.
A wielbłądy chore, rozdrażnione, krnąbrne,
Leżące w topniejącym śniegu.
Nie raz, nie raz żałowaliśmy
Letnich pałaców na zboczach, tarasów
I jedwabistych dziewcząt, przynoszących sorbet.
A poganiacze wielbłądów klnący i mrukliwi,
Uchodzący, by znaleźć kobiety i trunek,
A ogniska gasnące, brak dachu nad głową,
A miasta nieprzyjazne i osady wrogie,
A wioski brudne i zapłaty chciwe:
Trudny był czas wędrówki.
Pod koniec woleliśmy podróżować nocą,
Budząc się co chwilę,
A głosy śpiewały nam w ucho, mówiły,
Że wszystko to jest szaleństwem.

Aż przed świtem zeszliśmy w dolinę pogodną,
Poniżej linii śniegów, gdzie wilgoć i zapach zieleni,
Gdzie strumień szybki płynął, młyn przetrząsał ciemność,
Gdzie trzy drzewa na niebie niskim,
Gdzie siwy koń na łące galopował.
Doszliśmy do gospody, winorośl nad drzwiami,
Na progu sześć rąk grało w kości o srebrne monety,
Nogi kopały puste bukłaki po winie.
Nikt tam o niczym nie wiedział, więc podróż trwała dalej.
Przybyliśmy wieczorem, w odpowiedniej chwili
Odnajdując to miejsce; było (rzec można) stosowne.

Wszystko to, pamiętam, działo się dawno, przed laty;
Ponowiłbym wędrówkę, ale wytłumaczcie,
To wytłumaczcie,
To: czy tamta droga nas wiodła
Ku Narodzinom czy ku Śmierci? Bo były Narodziny,
Świadectwo dane, nikt nie wątpi. Widziałem narodziny i śmierć,
Myślałem, jest różnica; lecz te Narodziny były
Niby ciężka i gorzka agonia, niby Śmierć, nasza śmierć.
Wróciliśmy do ziem naszych, owych Królestw,
Lecz nie zaznaliśmy spokoju, wśród starych obrządków,
Wśród obcych ludów, chwytających pazurami własnych bogów,
Rad bym był śmierci wtórej.

Tłumaczył: JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Żaden z polskich filmów, wyprodukowanych w ostatnich miesiącach nie zasługuje na miano wybitnego. A już „Drewniany różaniec" to film mniej niż średniej wartości. Niektórzy recenzenci usiłowali podnieść „Różaniec" do rangi filmu o temacie współczesnym, uzasadniając to per analogiam, że — niby jeszcze i dziś na peryferiach naszego życia obyczajowego spotyka się relikty fanatyzmu religijnego oraz różne inne praktyki rodem z Ciemnogrodu. To prawda. Ale, niestety, „Różaniec" sugeruje tę analogię w swej warstwie propagandowej. Natomiast artystycznie za wiele w nim mielizn, aby nie mógł nasuwać poważnych wątpliwości bardziej wybrednym widzom.

WTOREK

„Ocalić od zapomnienia"... Ta piękna strofa Gałczyńskiego kojarzy się z wydanym niedawno tomem zbiorowym wspomnień o Łodzi z czasów, gdy była ona „stolicą intelektualną" Polski, to znaczy, z lat 1945—1948. „Tranzytem przez Łódź" zawiera 11 prac autorów, którzy w pierwszych latach po wyzwoleniu mieszkali w Łodzi. Z tych tylko pięciu pozostało i mieszka do dziś w polskim Manchesterze. Książka jest, jak to zwykle bywa przy tego rodzaju imprezach, heterogeniczna: obok wspomnień, czasem nieraz o charakterze sprawozdań statystycznych, znajdują się perły w rodzaju „Ojczyzny" Adolfa Rudnickiego, dobrej prozy Tadeusza Chróścielewskiego; lirycznych wspomnień Jana Koprowskiego, zamaszystych kronik Wiesława Jaździńskiego oraz interesujących notatek o Leonie Schillerze pióra Ireny Bołtuć-Staszewskiej. Dlaczego jednak nikt z piszących nie poświęcił więcej uwagi dwóm wybitnym postaciom z czasów ówczesnej Łodzi — Jerzemu Borejszy, pierwszemu prezesowi „Czytelnika", i prof. Janowi Muszkowskiemu? Pisze o nim wprawdzie Józef Chałasiński, ale jakże skąpo! A byli to wszak dwaj znakomici organizatorzy ówczesnego życia kulturalnego; Jerzy Borejsza w dziedzinie prasy, prof. Muszkowski w dziedzinie nauki, i dwie dużej miary indywidualności.

ŚRODA

W Wydziale Kultury PRN odbyła się interesująca konferencja w sprawie przybliżenia publiczności do teatru. Sprawa pomyślana jest z rozmachem. Spółdzielnia „Gromada" będzie przywoziła chłopów ze wsi, „z chaty do teatru" i odwoziła „z teatru do chaty". Łączy się z akcją Ministerstwa Kultury „Wieś bliżej teatru". Może dzięki temu Mrożek trafi pod strzechy?

CZWARTEK

Też o teatrze. Na scenie Teatru Powszechnego dużym powodzeniem cieszy się Moliera „Szkoła żon" dla młodzieży na przedstawieniach popołudniowych. Spośród wykonawców triumfy święcą Pola Raksa i Antoni Żółkowski. I oto ani się spostrzegliśmy, jak w ostatnim sezonie pod naciskiem konieczności finansowych powstała w Łodzi nowa forma upowszechniania teatru wśród młodzieży. Oprócz „Szkoły żon" w Powszechnym, Teatr im. Jaracza daje z niesłabnącym powodzeniem „Anię z Zielonego Wzgórza", zaś Nowy — „Pana Geldhaba". Ale dla dorosłych — co?

PIĄTEK

Nieraz zdarza się słyszeć z okazji jakiegoś spektaklu o „koncercie gry" aktorskiej i na ogół odnosimy się do tych superlatywów krytycznie. I słusznie! Wszelako transmisja telewizyjna sztuki „Most" Jerzego Szaniawskiego w wykonaniu aktorów Teatru Narodowego była niewątpliwym „koncertem" gry aktorskiej. Barszczewska, Łanjewska, Strachocki, Gogolewski, Szczepkowski. Wyrzykowski prześcigali się w mistrzowskich zagraniach. Piękna sztuka Szaniawskiego zajaśniała w takim wykonaniu pełnym blasku.

SOBOTA

Nagrody m. Łodzi w 1965 roku przyznano dr prof. Józefowi Litwinowi, dr inż. Mieczysławowi Serwińskiemu, dr med. Januszowi Sobańskiemu oraz Józefowi Rachwalskiemu, scenografowi. Z kandydatów przedstawionych przez oddział łódzki Związku Literatów Polskich żaden nie znalazł uznania członków Komisji Kultury Prezydium RN.

NIEDZIELA

Czy pamięta Pan, Panie Redaktorze, co pisała prasa warszawska o nowym wynalazku amerykańskim „Sentron", wykrywającym na zasadzie magnetyzmu złodziei książek, na którym to złodziejstwie biblioteki USA tracą około 25 milionów dolarów rocznie? U nas, na szczęście, kradzież książek nie jest plagą społeczną, natomiast gnębi nas wandalizm innego rodzaju. Niedawno w wypożyczonym w Bibliotece Uniwersyteckiej „Kwartalniku Historycznym" z 1953 roku stwierdziłem brak kilkunastu stron, wyciętych żyletką. W zeszłym roku w Bibliotece Waryńskiego został przyłapany na wycinaniu fotosów ze „Świata" stary emerytowany publicysta. Zatrzymany przez pracowników biblioteki tłumaczył się, że kolekcjonuje materiały do pracy o historii teatru. Wprawdzie kierownictwo biblioteki zapewniło mnie, że w wyniku pouczających wycieczek po gmachu biblioteki młodzieży, której pokazano wystawkę okaleczonych książek, ilość barbarzyńskich uszkodzeń zmniejszyła się z 38 w roku 1963 do 22 w roku 1964, ale to mało pocieszające. Natomiast zastanawia mnie, co za niszczycielska siła wkłada kulturalnemu (?) barbarzyńcy żyletkę do ręki i każe kaleczyć bezcenne unikaty? Czy nie sądzi Pan, że taki wandal powinien być surowo karany? Jak Pan widzi, notatnik na wzór przedwojennego „Cyrulika Warszawskiego" zaczyna strzyc i golić! W przyszłą niedzielę następny na fotel Arystarcha, proszę! Będzie nią Dyrekcja Tramwajów. A golić będę za niewłaściwy stosunek dyrekcji do potrzeb ludności robotniczego miasta Łodzi! Czy nos dla tabakiery, czy tabakiera dla Łodzi? Kłaniam się!

ARYSTARCH

ANATOLIJ DNIEPROW

ANTYŚWIAT

1.

Promień – dwadzieścia metrów, promień – sto siedemdziesiąt metrów. Trzysta pięćdziesiąt, tysiąc czterysta metrów...

Niebywała historia!

A ile czasu i mozolnej pracy pochłonęła budowa takich aparatów – „dinozaurów". Oglądałem schematy i fotografie starych aparatów przyśpieszających cząsteczki jądrowe i wtedy pomyślałem, że ludzie, którzy kiedyś w tak prymitywnych warunkach prowadzili badania, aby poznać budowę materii, są naprawdę godni podziwu. W nauce zawsze tak bywa: uśmiechamy się lekceważąco patrząc na pierwszy niezgrabny model radioodbiornika, zapominając, że bez niego nie byłoby tej miniaturki umieszczonej w zegarku, która teraz śpiewa u mnie na ręce. A wtedy uczeni byli dumni ze swoich wynalazków!

– Śmieszne, prawda? – powiedział Walenty Kamienin – pochylony nad schematem synchrofazotronu na sto miliardów elektronowoltów.

– Wcale. Bez nich pomysł doktora Gromowa nigdy by nie powstał. To właśnie dzięki tym maszynom zostały odkryte cząsteczki zawierające energię ujemną, które wykorzystał Gromow.

– Teoretycznie znano je już dawno. Należało tylko dobrze pomyśleć...

Walenty zawsze twierdził, że „należało tylko dobrze pomyśleć" i całą współczesną cywilizację można było stworzyć jeszcze w epoce kamiennej.

– Czy wiesz, co robiłem przez cały ubiegły rok?

– No? – spytał bez wielkiego zainteresowania.

– Przeglądałem periodyki z teorii fizyki, które zostały opublikowane w ostatnim ćwierćwieczu. Okazało się, że 99 proc. artykułów – to czysta fantastyka naukowa, taka sama, której nie lubią i wyśmiewają fizycy.

Walenty spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Oczywiście, najprawdziwsza naukowa fantastyka, zamaskowana matematycznymi formułami i równaniami. Każdy artykuł to wymyślony przez teoretyka model fizycznego zjawiska, opracowany matematycznie. Każdy z nich uważa się za przedstawiciela ścisłej nauki tylko dlatego, że fantazjuje przy pomocy matematycznego aparatu. A przecież z całej grupy teoretyków słuszność będzie miał tylko jeden, a reszta – to fantaści.

– Ciekawe – uśmiechnął się Walenty. – A dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo teoretyk na papierze może ci wszystko udowodnić. Ale to za mało. Chodzi o to, żeby jego przepowiednie się sprawdziły. Nie wystarczy przewidzieć istnienia cząsteczek naładowanych energią ujemną.

Zeszliśmy do studni, gdzie nasi koledzy kończyli montaż aparatu przyśpieszającego na 10 tysięcy miliardów elektronowoltów. W porównaniu z „dinozaurami" był on naprawdę bardzo mały. Stał w samym środku okrągłej betonowej sali. Ostro zakończony grafitowy tubus skierowano w stronę grubego muru, który nas oddzielał od ziemi.

– Co weźmiemy? – spytałem profesora Gromowa.

– Parafinę.

– Dlaczego?

– Zobaczymy jak będą się rozpraszały elektrony. Ciekawe, czy one mają strukturę wewnętrzną...

Pomyślałem, że do tego potrzebna jest olbrzymia energia i, mówiąc szczerze, przestraszyłem się trochę.

– Jeszcze nikt nie próbował przeniknąć w przestrzeń długości jednego kwanta.

– Energię cząsteczek będziemy powiększali stopniowo. A jak system regulacji?

– Doskonale. A skąd pan wie, gdzie należy się zatrzymać? Prawdę mówiąc, pracujemy metodą prób i błędów i nie wiadomo, co się może przytrafić.

Gromow w milczeniu opuścił studnię. Widocznie nie był zadowolony. Pamiętam, kiedyś powiedział:

– Fizycy jądrowi – to ryzykanci.

Ale ten romantyzm ryzyka wśród młodych pracowników laboratorium nie wywołał żadnego entuzjazmu. Co więcej, Wołodia Szarkow poprosił o zwolnienie.

– Mam już dość tej waszej diabelskiej kuchni i nie mam zamiaru wylecieć w powietrze – powiedział na pożegnanie.

Bardzo dokładnie przeglądałem prace wykonane na starych aparatach przyśpieszających; chciałem wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo może nam grozić.

Wydawało mi się, że takie niebezpieczeństwo istnieje. Wraz z podwyższeniem energii cząsteczek, w ilości wprost katastrofalnej wzrastała liczba antycząsteczek, a wydzielaniu energii towarzyszyły wybuchy. Elektrony i protony ze straszliwą szybkością bombardowały jakąś niewidoczną ścianę i bardzo możliwe, że to właśnie ona jest tym antyświatem...

2.

Zbliżał się moment uruchomienia aparatu. Pracowaliśmy w milczeniu. Każdy myślał o tym, jak się to wszystko skończy. Tylko Feliks usiłował żartować:

– Nie bądźcie tacy ponurzy! To potrwa zaledwie ułamek mikrosekundy. Człowiek odczuwa strach dopiero po upływie jednej dziesiątej sekundy, ból – po pół sekundzie. To chyba proste, że jeżeli się coś stanie, nie zdążymy niczego poczuć. Halinko, jeżeli ciebie uszczypnę w nos, a ty to poczujesz dopiero za dziesięć lat, czy będziesz bardzo oburzona?

– Przestań! Lepiej sprawdź regulację.

Wreszcie nadszedł dzień próby. Gromow zamarł przy energometrze.

– Jaka szybkość? – spytał.

– Sto czterdzieści antycząsteczek na sekundę.

– Dobrze. Proszę powoli zwiększać, tylko bardzo wolno...

Znajdowaliśmy się teraz na nieprzetartych szlakach.

– Wiktor, szybkość! Proszę informować.

– Dwieście pięć na sekundę... dwieście dziesięć... pojawiły się antyhiperony!

– Ile?

– Na razie tylko czterdzieści... czterdzieści siedem.

– Energia?

– Tysiąc sześćset czterdzieści... Jeszcze żyjemy...

Gromow sprawdził przyrządy pomiarowe.

– Proszę zwiększyć szybkość i zaprzestać swoich dowcipów – powiedział do Feliksa.

Ostatnia wielkość potoku antycząsteczek wynosiła tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt.

Stałem przy ekranie telewizora.

– Widzi pan – szepnął profesor Gromow – czarna aureola wokół łuku powiększa się!

– Otwór!!! Co to za otwór? – krzyknął Feliks.

– To lustro, w którym się odbija...

W tym momencie wysiadły bloki i wszystko znikło.

Patrzyliśmy na siebie w zdumieniu. Czy to już naprawdę to? Czy to jest to „okno", o którym pisali fantaści?

Kolejne doświadczenie musieliśmy odłożyć do następnego dnia. Kiedy wszyscy wyszli z laboratorium, zszedłem do studni. Dokoła panowała martwa cisza, ukrywająca tajemnice przyrody. Fantastyczna armata stała skierowana w stronę pustki. Czy to nie tu rozgrywa się ten dramat między przestrzenią, którą my wyobrażamy sobie jako puste miejsce, i cząsteczkami materii, przelatującymi z niesamowitą szybkością? Czy ta mniemana pustka nie jest przypadkiem murem, za którym znajduje się inny świat podobny do naszego, ale dla nas niedostępny? Czy nie idziemy brzegiem przepaści usiłując otworzyć drzwi do tego tajemniczego, zamkniętego świata? Antycząsteczki... Skąd one? Gdzie leży tajemnica ich pochodzenia? Skąd przylatują do naszego świata? Czy nie stamtąd?

Patrzyłem na gruby betonowy mur, za którym znajdowały się dziesiątki kilometrów ziemi. Starałem się wyobrazić sobie, co tam się dzieje. Jeżeli wierzyć teoretykom, to właśnie teraz w tej samej chwili stoi tutaj taki sam człowiek i myśli o tym, o czym ja w tej chwili myślę. A może ten człowiek i ja to jedna zamknięta całość?...

Przestraszyłem się i już chciałem uciec z tej studni, ale przyszła mi do głowy pewna myśl. Wziąłem kawałek papieru i napisałem kilka słów.

3.

– Zaczynamy. Proszę dać od razu tysiąc sześćset miliardów – cicho i uroczyście powiedział profesor Gromow.

Aureola rozszerzyła się do tego stopnia, że można było zajrzeć do środka. Nie wierzyliśmy własnym oczom: tam w czarnej pustce zobaczyliśmy nasze laboratorium, studnię, zapalone żarówki na ścianach, cały aparat przyśpieszający, kable i wiodące na górę schody. W tym wyłomie, przebitym w pustce przez cząsteczki mknące z szybkością światła – widzieliśmy cały świat... Ostry koniec naszego aparatu i tego tam po drugiej stronie dotykały się w ciemności, a w miejscu zetknięcia drżał płomień. Zobaczyłem cały aparat, zupełną kopię tego, który stał u nas...

– Oto okno na antyświat – szepnął Walenty.

Nagle nastąpił wybuch i z ekranu telewizora zniknęło światło. Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Zdaje się, że jeszcze żyjemy – mruknął Feliks. – No to jeszcze raz spróbujemy...

– Najpierw przejrzymy film – powiedział Gromow.

Na ekranie znów zobaczyliśmy odbicie naszego laboratorium.

– Proszę zatrzymać projektor. Tam na murze widnieje biała plama. To kawałek papieru z jakimś napisem. Proszę to powiększyć...

Serce mocno waliło mi w piersi.

„Nie zwiększajcie energii do dwóch tysięcy miliardów elektronowoltów, bo zapali się nowa gwiazda".

Gromow zamarł na miejscu, wreszcie odwrócił się i zaczął biec w stronę studni. Wszyscy rzucili się za nim.

Ze studni buchały kłęby dymu.

4.

Był to zwykły pożar, który ugaszono zwykłą wodą. Kiedy rozwiał się dym, w kombinezonie i z latarnią w ręku zszedłem na dół i człapiąc po wodzie oglądałem zakopconą salę. W powietrzu unosił się zapach spalonej gumy i smarów. Z sufitu zwisały zerwane przewody elektryczne. Przy schodach pływał spalony strzęp papieru. Ostrożnie wziąłem go w ręce i zacząłem rozcierać. Przez chwilę czułem, że tuż obok mnie to samo robi inny człowiek. Szybko podniosłem latarnię do góry i popatrzyłem dokoła. Nikogo nie było. Spoglądały na mnie zakopcone ściany... A może ten drugi człowiek to ja?

Na górze oczekiwał mnie Kamienin. Uśmiechał się ironicznie.

– Możesz nam pogratulować.

– Co się stało?

– To był ostatni eksperyment w fizyce jądrowej.

– Dlaczego?

– Przyrządy wykazały, że strumień antycząsteczek przekroczył normę, jaką podaje instrukcja Akademii Nauk. Zabroniono dalszych doświadczeń.

– A co z oknem na antyświat?

– Należy szukać innej drogi. Ta, którą myśmy obrali, jest zbyt niebezpieczna...

Z rosyjskiego przełożył:
ROMAN GORZELSKI

fraszki jana Czarnego

TAK BYŁO...

Tak było i tak będzie
na to rady nie ma:
Od Boga płynie łaska,
od księdza — anatema.

SPOSÓB

Cenisz zdrowy rozsądek, /
szukasz praw logiki?
Sprowadź kilku wariatów,
a będą wyniki.

* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Lewym okiem

ARTYSTA NIECO WCZEŚNIEJ...

Znacie pewnie taki sobie, niemłody kalamburek, że dawniej dziewczyna dostawała rumieńców, gdy się wstydziła, a dziś – wstydzi się, że dostaje rumieńców. Tyle już ze wszystkich stron napisano i nagadano o ohydnym przeżytku, o straszydle i duchu ciemności zwanym pruderią, tyle nas – powiadam – kłuto tą pruderią w oczy, że wreszcie na wszelki wypadek przestaliśmy się wstydzić w ogóle.

– Ludzka rzecz – mówimy, gdy tylko co poznana w pociągu starsza pani zaczyna nas raczyć opowieścią o swoich dolegliwościach. Oczywiście, że ludzka rzecz i tak jak o każdej bez wyjątku dolegliwości, należy niezwłocznie opowiedzieć o niej komu trzeba. Ale chyba nie wszystkim, co? Bo po co?

Doprawdy żenuje mnie niezmiernie wysiadywanie w korytarzach przychodni lekarskich. Ostatecznie już nawet mniejsza o to, że ludzie siedzący tu godzinami w mroku i ciasnocie za dużo gędzą o najmniej apetycznych i raczej intymnych sprawach. Nie wszyscy to robią. Wielu nie chce. Cóż jednak z tego, kiedy zza cienkich drzwi gabinetów lekarskich słychać każde słowo, każde pytanie lekarza. Może to należy do zawodowego fasonu w tej branży, żeby mówić z pacjentem beztrosko i rubasznie, na cały głos; nie licząc się absolutnie na przykład z grubością drzwi? Potem z gabinetu wychodzi podenerwowana diagnozą panienka, a cioty siedzące w korytarzu odprowadzają ją wzrokiem, pełnym satysfakcji...

Od lekarzy przejmuje obyczaj personel pomocniczy. Ileż to razy w pokoju zabiegowym zastałem dwie – cztery osoby, prawie zawsze panie, zajęte wesołą pogawędką z siostrą, przygotowującą zastrzyk. No cóż, wystawiał człowiek co trzeba, chociaż panie były po cywilnemu i chociaż oprócz nich ktoś co chwila uchylał drzwi nie wiedząc, czy można wejść, a drzwi nikt nie zamykał. Po niejakim stażu można nawet takie publiczne zastrzykobranie perwersyjnie polubić...

Młody człowiek w biurze opowiada wobec dość dużego i prawie że nieznajomego grona, jakie kłopoty miała jego żona z łożyskiem przy pierwszym dziecku. Ludzka rzecz, ale po co? Przy biurowej herbatce, przy klientach i pod akompaniament liczących maszyn?

Telewizja pokazuje (żeby było konkretniej: 10 stycznia, w niedzielę, o godz. 18.35) – deklinując nieskończoną ilość razy słowo „Artysta" – Dudusia, artystę Dudusia Matuszkiewicza, prezentując jego zdjęcie obecne, sprzed lat dziesięciu, z niemowlęctwa (nagusek na niedźwiedziej skórze) i... „nieco wcześniej". Widzimy więc na ekranie embrion Dudusia w łonie matki. Ludzka rzecz? Brzydka rzecz. Są chyba granice, poza które nie trzeba się ani cofać, ani wybiegać naprzód. Czy ktoś pokazałby zdjęcie artysty „nieco później"; na przykład za sto lat?

Owszem, pokazała właśnie Telewizja. Wprawdzie do gustownego szkieleciku doczepiono uśmiechniętą i dmuchającą w saksofon twarz artysty. Żeby było dziwniej. Ech, panowie!... Wstydźcie się. Wstyd to nie zawsze pruderia. Czasem jest najprostszym wykładnikiem delikatności i wymogiem kultury. Także tej operującej masowymi środkami przekazu.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 139/65, N-3.